





ZYGMUNT
JELEN
W. TARNOWIE

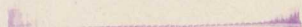
KSIĘGARNIA,
SKŁAD NUT, PAPIERU,
MATERIAŁÓW
PISMIENNYCH
I ARTYKUŁÓW
RELIGIJNYCH.

Nr. P. 52.

PAMIETNIKI KWESTARZA



ZARZĄD MIEJSKI w TARNOWIE
Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
ul. Staszica 6; - tel. 491





— *Laudetur Jezus Chrystus!*
— *In saecula saeculorum!* — A z którego klasztoru Pan Bóg
prowadzi?

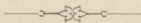
IGNACY CHODŹKO



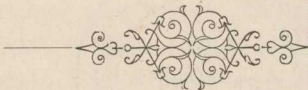
PAMIĘTNIKI KWESTARZA

Z DWUNASTOMA RYCINAMI

E. M. ANDRIOLLEGO



WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1901

ZARZĄD MIEJSKI w TARNOWIE
Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
ul. Słowacka 6, tel. 491
C-24496

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Января 1900 года.



SDh-1906

P/191/2019

PRZEDMOWA WYDAWCY.



Między Biłgorajem a Tarnogrodem, w lichej karczemce, nieśmiertelnej pamięci *ks. Biskup Warmiński* znalazł skarb nieoszacowany: *Pamiętniki Grumdrypa*¹⁾, człowieka nieumierającego nigdy, a który i teraz zapewne włóczy się gdzieś po świecie. Ja

W mieście, którego nazwiska nie powiem;
Nie to albowiem do rzeczy nie przyda²⁾.

w opuszczonym i opustoszałym klasztorze, niegdyś księży Bernardynów, znalazłem to *opus prawne w skórę*³⁾, któremu nadawszy niejaki porządek, stosowny do treści tytuł, i przyswoiwszy je do mojej ubożuchnej galeryi obrazów, puszczam na widok publiczny. Wartość zaś dziełka tego do *Historyi na dwie księgi podzielonej*, będzie zapewne, jak *kwestarz do Biskupa*

¹⁾ *Historia na dwie księgi podzielona* Krasickiego.

²⁾ *Monachomachia*.

³⁾ *Przedmowa do Baki* — Borowskiego.



WSTĘP AUTORA.



nia wczorajszego zawołał mnie zrana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś wać, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem:

— Aż do *Poezyny inclusive*, JW. panie!

— A dla czegoż wać nie słuchałeś i *Retoryki*?

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć wać nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakżeby to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestyę.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcyę, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako do marszałka mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra, etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy się regularnie — jestem gotów — rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny Mości.... a Dobrodzieju! — z figielkiem“.

— Jest — z figielkiem.

— Jakto? co waść napisałeś? — zapytał wojewoda, spojrzawszy przez moje ramię na papier.

— To, co JW. pan dyktowałeś.

— Porzuć waść, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A skądże JW. pan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę*?

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JW. pan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem*?

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem.

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na Akademią frekwentował, dyktować wolej *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębow dymu, i po niejakiem namyśle.

— Wiesz co? — rzekł — Czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od „*Mnie wielce Mości Panie Bracie!*“

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlachcic nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju* każdemu jednostajnie przypadające. Adyktament *Jasności* przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcic nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc,

ojcze święty, jakem wprzód dyktował... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a niebardzo mnie życzliwy... jak się urazi za figielek, i weźmie to za *postpozycyę*, gotów mi wzajemnego figielka wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem, pomiesza, a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się... Pisz więc *Dobrodzieju!* wyrażnie.

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu. — Jak rozumiesz? ojcie święty: — zapytał *uniżonym* lub *najniższym* sługą?

— A jakbyś JW. pan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JW. panu pisać teraz *uniżonym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potem i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojcie święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a za tem *non tam libenter quam reverenter*... — I wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

— No, teraz, ojcie święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryusza, to jest, do tej księgi pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki: i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*; codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcye plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większej części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Takż rozmaite nowiny i zda-

rzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jako też i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historye, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostryki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierwej skopiować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany mądry ks. Maciej kapelan wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza cnót ślicznej parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopiowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadało pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznajomą ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: „*Dum subera suberant, subera suberare memento* ¹⁾.” — A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrożę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otóż zręczność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość pańską, czyli ja traktował szkoły... *summa facit* — atlasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W *rekompensę* funkcyi sekretarskiej, oraz uznając przykłądną aplikacyę w szkołach marszałka dworu mojego, JP. „Michała Ławrynowicza, assygnuję mu ze sklepu kupca Abra-

¹⁾ Drzyj łyka, kiedy się drą.

„hama w Połocku, atlasu paliowego w *echcie* na żupan łokci „dziewięć. Datt. 178...”

Właśnie gdy ukończył pisać i list pieczętowałem, nadszedł wojewoda.

— A co? ojcie święty! gotowo? — zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JW. pana. — I podałem assygnacyą.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego wraz sobie dobrze tuszylem.

— Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na cóż tak wiele atlasu? czy nie możnaby *per abbreviationem*? naprzykład łokci pięć?

— Nie można, JW. panie, bo byłby żupan z fałszem; a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową rację. — I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wyśmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie *to to owo*; więc przyszło mi na myśl, że to wyśmienita książka pana wojewody, i gdybym to ja taką pisać zaczął? Uważałem rzecz tę *pro et contra*.

— Na co mi ta praca lizna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty.... to dla pamiątki dzieciom....

— A kto wie? może i ożenię się? Panna Rachela, respektowa wojewodzinej, nie źle na mnie pogląda....

— Tfu do licha! — myśliłem znowu — oto były praca lizna.... Teraz głowa wolna.... Czy szatan kusi! No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w cieplej chacie nad czem rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum* ale *sibi soli* pisać będę. A zatem —

*Adsis inceptis Benigna Virgo meis!*¹⁾

¹⁾ Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!

I.

SEJMIKI POŁOCKIE W USZACZU ¹⁾.



anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie Połockie. *Laus tibi Christe*, że prawie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej książki, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej assystencyi dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi, i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikację, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest dwiescie ludzie piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w także szarawary, kładł nowe buty, kaskiecik lakierowany z kitką na głowę, patrolasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

¹⁾ Uszcz, miasteczko dziś w powiecie Dziśnieńskim w gubernii Wileńskiej, w którym odbywały się sejmiki województwa Połockiego.

Pan Piekarski porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą, i tygodniem przed wyjściem na publickę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskim wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczać się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił, i z cicha pytał: *czy już?* jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzyczał: *ton tuy!* O Bożym świecie nie wiem co znaczy takowe *ton! tuy!* Musi to być komenda niemiecka; ale po niej kurki *traf, traf*, наконец *cel pał*, i zawsze jakbyś *orzech zgryzł*.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sieleckich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic, i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *oppressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi i assistencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie, mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i assistować jeszcze jako marszałek dworu, to jest, pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydobywałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana

Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpocząć koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*; wszedł on do miasteczka takowym szykiem: — Na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w rękę, jakich już i niewidać teraz. Personat! nie ma co powiedzieć. A wąs! mój dobrodzieju! wąs! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklých dziewczek, w czerwonych aksamitnych gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych gredyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za nimi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody, i rejestr swej partyi złożył mu w ręce.

— Ojcie święty! — zawołał wojewoda, patrząc na waltornie — miałbym tego za trzy litery, ktoby się do takiej partyi nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.



WIZYTA PO PRZYJACIOŁACH ¹⁾.

wigilią *reassumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu, rzekł do zebranej drużyny: — Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obejścia prześwieatnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

— Dla czegoż pan podkomorzy pierwej nie złoży *submissyi* panu wojewodzie? — odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojczye święty! Nie idzie tu o *preeminencyą*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom, i dajmy pierwszy krok *ad unanimitem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy, i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewodziego Korsaka, naszego także *adherenta* szliśmy w kilkunastu za panem Wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tej naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne na pozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye* i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna; i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

¹⁾ Tytuły nad oddziałami są wydawcy.

W naszej kompanii za wojewodą, przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymeniem jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany: bo będąc chudym pacholkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy *werdragonowy*, dobrze wprowadzie podszarżany, ale przecież jeszcze nie dziurawy ani łatany; pod nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna na opasce, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego panu szambelaniciowi, młodemu szalawile, podpilemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława, i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki — *Strzelczyk!* — powiadał — dalibóg *strzelczyk!* — Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tem ośmielony panicz, coraz to głośniej *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron *aspektując* jego figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

— Panie bracie! Panie szambelanicu! — rzekł on — Was pan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś, i nazywasz mnie szlachcica strzelczykiem, otóż, panie bracie, *strelczyk waszeci nastrelaje!* -- Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspokajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem przerwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejonono, można było łatwo zgadnąć na czem się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.



III.

WYZWANIE.



an wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było i we własnej jego kwaterze nie najdziono; widać, że się gdzieś zaszył, aby nie być *molestowanym* przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł — pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz, bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław. — Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego *Harasima*; ale pan szambelan pan,

a przynajmniej siada między pany; to potrzeba go nauczyć *mores*, aby szlachtom po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękaś się narazić wojewodzie lub siebie eksponować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to niepozwałam — rzekłem. Funkcya moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi *negować* posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucyę.

Jakoż i poszedłem do panów Sieleckich, którzy całą familią mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwkowej izbie podpiła i dziwnie na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekreskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno butelek i dzbanów, szambelanie i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu! — na szpiegi? *na praktyki?*

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski; polocki; głowacz to wielki, ale *filogranowej roboty*!... Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator, i dla tego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody; więc powstał, i wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

— Gości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczyz derpski. — (Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem *derpskim*: bo ja, jak zawsze; Ławrynowicz, i nie wiem jak kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim). — Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie *agrawować* i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo! — krzyknęli.

— Poselstwo moje — rzekłem — tyczy się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semo-tis arbitris*.

— Nie ma żadnego sekretu pomiędzy nami, mów jak stoisz.

— A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcyą za krzywdę, którąś pan dzisiaj jemu dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań *postpozycyą*. Czekać więc on pana będzie jutro rano ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* juryzdykcyów sądowych nie mieć *akcyi*. Przytem ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcyi i nie stawił się na wyzwanie, (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelanic — abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę Junosza, szlachcic z traktu zapońskiego ¹⁾, zawołany sejmikowy zawadyka — oporządził pana posła.

— Mości panowie! — rzekłem, odstępując w tył kilka kroków — protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny atak, i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark Zapończyka. — Idź spać, opoju! — rzekł, popychając go do alkierza. — Panie szambelanicu! obudzę podkomorzego; jeżeli nie dasz pokoju tym burdom. — A do mnie: — panie marszałku zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz. — Panie Michale! rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię djabli nadali przychodzić z taką propozycyą, gdyś ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się wojewo-

¹⁾ Trakt Zapoński, dziś w powiecie Borysowskim, w gubernii Mińskiej idący, nasiedlony dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

dzińskiej) rzeczy nachylał? dla tego jedynie i byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem, gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bogdaj tyle pies płakał! — pomyślałem, i uściskawszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie. — Panie bracie! panie Michale; — rzekł potem — pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory, i zaraz spać: bo przededniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę. — Ale mnie nie było czasu myśleć odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie, i kazał assystować sobie od pana Rudominy, który go na wieczorną hulanke zaprosił.



IV.

WIECZORYNKA.



Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koronczyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadła z domów, krzyczała: „*Wiwat pan Wojewoda Połocki! wiwat!*“ Chwytała przytem na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się tej subiekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partią przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszy puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na

którym pili zapończyki, jakiś urwisz; a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

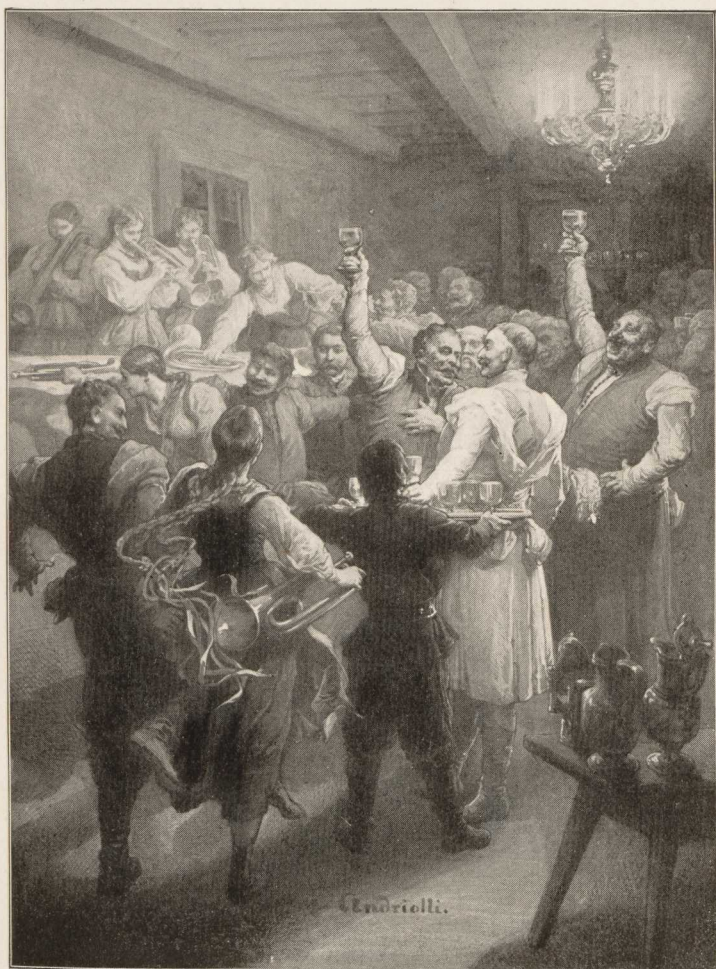
Ryknęła za nim cała hałastra: *Szlachtę pożerasz? Szlachtę pożerasz!* — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy co z tego będzie? Zaczepnął miedzianym kubkiem miodu z cebra, i ukloniwszy w około — ojcowie święci! — rzekł — piję za zdrowie przeznaczonych braci szlachty traktu zapońskiego. Wiwat!

— *Wiwat!* — wrzasnęła szlachta — *wiwat* wojewoda połocki! *wiwat!* — I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać: — *Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa jak do doktora po recepta, udają się po oracye i kadencye a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopyły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciami waltorniami, w licznej *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosółu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas*, że aż stół się ugiął. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptactwa, na szerokich cynowych blatach góry poukładane: prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów do rosółu.



... więc poły za pas zawinawszy, wrywali nasi bracia dziewczki od waltorniów i dalej *w obertasy*.

Odbywszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsa wyborym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce spróżnionych mis i półmisek, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia p. Rudominy prze mogła na koniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą, nie tknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i z ręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc: *volens nolens* szczerzy ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody, okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczery piliśmy u pana Rudominy *laetissime*; za każdym wiwatem do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyspiewywały chórem i wesoło:

Wypił, wypił nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił!

a potem huknęły *kurdesza* i *czumadrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha*, to skoczna nuta: więc poły za pas zawinawszy, wyrwali nasi bracia dziewczki od waltorniów, i dalej w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencji wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotych posypało się, trudno by zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze, ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przeleknione dziewczki wrzasnęły okrutnie, my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał: — *Łapać excessantów!* — a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po śliskiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwasił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: *Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiaż!* — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany — istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to mi nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc, że pijanice jakowś, strzeliwszy do okien naszych jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokoł, i już byli daleko gdyśmy ich szukali; znaleśliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały *sukces* wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganiu, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwarterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie,

choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!

A my, jego służdy,

Pijmy, jak i drudzy.

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! ¹⁾

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

¹⁾ Dawna piosenka hulacka. — N. w.



POJEDYNEK.



azajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław. — Panie bracie! panie Michale! — rzekł on, budząc mnie rozespanego — wstawaj, konie gotowe.

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tem bardziej, że dziś *reassumpcyja* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelaniec bez zawodu stanie na placu ze swymi *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa... nie pociągnie... nadzieja w Bogu i w *Harasimie*.

Przypasałem więc i ja moją *Elżutkę* — szablę *Augustówkę*, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno klusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył mały paczek i położył na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie! — zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) — zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje. — Waś młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić. — *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* — wymawiał ze skrucą bijąc się w piersi pan Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa*. Amen.

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając węża i pogładając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody. — Miłyż Boże! pomyśliłem — nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie. — Pan Swiebody urody nie wysokiej i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w piętę go podstrzelono. Na twarzy jego, dyabeł (jak to mówią) grał tryszaka: poszrotowana ospa i pokierszowana kilką szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy Harasima, nastroił marsa, uciekała odeń szlachta, jak od bazyliuszka. Kłębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wyśmienicie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc: — *Plażyłem ja, plażyli i mnie*.

Niezaługo ujrzelśmy sześciu konnych, sadzących do

nas nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

— Żle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław — już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnám; a ty panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiadli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima*, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwignął potężnie!... furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanica, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie! — rzekł pan Stanisław — *ustawaj! na plecach kryża robić nie budu.*

— Pogodzím się, panie podczaszy! — rzekł powstając szambelanic. — Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci — masz satysfakcyę, panie podczaszy! — Zgoda! panie Stanisławie! — rzekłem i ja. — No, to niechaj sobie i zgoda — powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. *A druhi raz, panie bracie, nie zaczepiaj streleczyka, bo Waszeci nastrelaje.*

Znowu krzyknęliśmy: — Zgoda! — Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.





...furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanica,
a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

SESSYA SEJMIKOWA.



an wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział rację mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uściskał nas obu i winshawał *wiktoryi*.

Trafiłiśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excesie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na cmentarzu około kościoła, i postawić sztyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcze święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta... kapelia na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo: mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWPan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie

będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a rumor niezycliwy który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWPan chcesz *opresive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcze święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zanego senatera i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześciańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła, i zasiądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pisarza; a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: — Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządziecie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść ojcze święty, powracaj tu do mojej assystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy ztamtąd z należytą *adoracyą Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* pięćdziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica;

chłopy jak dęby; zajmę z nimi *prezbiterium*; uręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum — factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracjalistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworaków, wołali: — Swiebodczuki! a dokąd? Swiebodczuki! — Porczyńscy pogłądali z pode łba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płatał który!...

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąż drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki wypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił, i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami złotymi; żupan materyalny, spięty karbunkulem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpia łuskę, a złoto ciekło z frenzłów; nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne,

wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak ob-
lany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, pod-
sunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach
dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy
ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty,
którym, jako i Swiebodczukom, po bigosie i palonym krup-
niczku ¹⁾ z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich
hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając pra-
wie każdego *de nomine et cognomine*, i sustentując ich hojnie
zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam
wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, zna-
jomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali
pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za
kratki, to my was do kościoła nie wpuszczam, i zamknem
drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzaskał drzwi kościelne i drągiem zewnątrz
zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy.
Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie
domyślali się panowie zapończyki, że ja mam w kieszeni
sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc
klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojcie święty! masz rozum rzekł on. — Chciałem
mu przypomnieć *infimę*, ałem właśnie postrzegł, że byłem
w paliowym atlasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą
Swiebodzińską gromadką. Zapończyki *opstupuerunt*, ujrawszy
nas jak z nieba spadłych.

— Zdrada! — zdrada! — krzyczał pijany Junosza —
Twardowskiemu dyabeł sekunduje!

¹⁾ Krupniczek — wódka palona z miodem i różnemi korzennemi
zaprawami. — N. w.

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o dyable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz! — I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy, ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę, a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sielicy, Nornicy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otóż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reasumpeyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: — Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta*! Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*! — Nasi wrzeszczeli: — Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski*! Posłowie województwa Połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski? — zapytywali jedni.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie: — prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę*! kto w Boga wierzy, *pal*! bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli: — Palić heretyka! palić!

Spojrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul!* — rzekł on do mnie — popieraj moją propozycję, panie bracie!

I znowu począł perorować: — Kto z kim przestaje, takim się sam staje: więc i my moiści panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask! — Spalić Junoszę:

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: — Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tego trojniaku, i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibicyę* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie potrzeba, bo heretyk, a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy. — Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

— Pławić! — krzychałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrzęsł się. — Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem. — Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał

głośno: — Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycje* Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: — Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? mości panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem poza filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyspieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto*, niezawołana, przeto powtórzywszy znowu: — Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodziej! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które rozumiem, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum*? jakie *laudum*? — odezwali się Sieliccy. — Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda; a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinał ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reasumpcyę* i *laudum*, w którym wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany!* niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyszną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem.. Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Aloizy *Sulistrowski*, pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on de *radice* oszmańczuk: ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyi*, aby z Oszmiańskiego posłani byli pan *Kociell* i pan *Bieńkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześniej o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie że przybywa z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach. to już

i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę do domów, i przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan Sulistrowski, uściśnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: „*Od króla Jego Mości*“.

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziej się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je gośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgłębku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata*!

„Wielmożny uprzejmie nam miły!“

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszedł, prawem oznaczony. Prześwietne województwo Połockie posiada zapewne w gronie swoim mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskiwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadczyć Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę naszą królewską. Dobrego przytem zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy“.

Po odczytaniu, znowu milczenie; aż ktoś z ławek odezwał się: — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcyą poselską na przyszły da Bóg sejm piastować i o takową dopraszam się. Przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nie nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego*!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem: — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował.

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcie! a szlachcie na ogrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanie senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz (tak się nazywa folwareczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

Brawo; — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut*! *wiwat* pan łowczyc poseł nasz! *wiwat*!

-- Prosimy pana wojewodę o wota. Kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególniej przeciw panu *Sulistrowskiemu*: — Na co nam oszmańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie; a ten się odezwał: — Ojcowie święci! spóźniona pora; sejmik jest *reassumowanym*: odwołuję więc sessyę na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito* — nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki*; więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sessya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo! dawaj *kalkuły*. Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda. — Ojcowie święci! odwoławszy sessyę, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcie święty!... — Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest, z cicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sessyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przezemnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a niepożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczeć i konferować ze swojemi. Szlachta nie wiedząca o niczem, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: — *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* — I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachcią. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samem uważanym jest promotorem swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderacyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a na koniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał: — Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycja. — Na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni; i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakej *molestacyi* i podkomorzy, więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.



VII.

OBIAD U PANA WOJEWODY.



—
Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych opozytorów, więc za nim przyszedli i panowie *Norniccy* i pan *Reut*, i kilka niższego choru braci szlachty z ich partyi. Wszystkich nauprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególniejsze jakie to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysyła pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na assistencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju! — zapytał cicho szlachciec.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdiesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli — rzekł szlachciec, widząc domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską: więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda: — Ojcie święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszysz trąby — *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą, i rzekłem z tęgą miną: — Waza na stole! — Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycji pańskiej.

Obok pana wojewody usiadł z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu, rzekł on do mnie: — Ojcie święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kaptalne* stare francuzkie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprawdzie między moją prowizyą sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czem zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary, (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną *chleb powszedni*. Powstał pan wojewoda, i ująwszy nalany pełna — Zdrowie! — rzekł —

JW. Sielickiego. Przestał, a potem dobitnie zawołał: — Kasztelan województwa połockiego! — Spojrzał zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a w tem powstał pan Sulistrowski, i rzekł dostając z zanadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią: — *Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podmomorzy, dowód swej łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwietnego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abys, jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apell... i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywilej w rękę a lzy mu po twarzy grochem się sypnęły...

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył zdrowie: więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki ocierając z łez twarz i wąsy, rzekł do mnie: — Panie marszałku! proszę o kielich. — Podałem nalany.

Jeszcze gęściej lzy mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodziewaną godność. Proszę uniżenie! nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w pocziwem sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwo więc wymówić mógł on, i nie dosłyszałem jego *kongratulacyi*; skończył głośniejsze i zrozumiałej; bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego

posła województwa połockiego. — *Wiwat!* — wykrzyknęliśmy wszyscy huczno. Od trąb i salwy aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podaliśmy więcej kielichów, każdy chwycił je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana i dla przyszłego posła. Jeden pan *Reut*, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głowę; ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął: — Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego posła naszego! Pan *Reut* nie dotrzymał i zapytał: — Cóż to? moiści panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spojrzał nań z pode łba, i z cicha ale dobitnie rzekł: *Chapaj Reut miasa!* — Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan *Reut*, nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwiej, że pan *Reut* nie przyjął podawanego przezemnie kielicha, i poznał widać po mnie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reuta*, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie z cicha: — Oj! panie bracie! na ciężką *konfessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętasz koniec *Reutowskiego* kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie *zaobserwował*; więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wzięwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokrę-

cając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu! — rzekłem do pana *Brzostowskiego* — podziękuj pan zacnemu swemu współambijentowi, który się rzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy *inkluzę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma *inkluzę* i nosi ją tu — odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się z jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a pan wojewoda patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą *influcyę* pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich — *Kochajmy się* — Apel — zawołał wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada; ale wtem zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dziedzińcu i pod oknami: kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie: — Wiwat pan *Sielicki poseł turecki!* Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzyżeć podrzucając czapki w górę: *Wiwat poseł turecki!* Pojedziem wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody, i wytłómaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi — Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojęństwo pana kasztelana połockiego, i z nimi razem powtórzmy: *kochajmy się!* Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podszedłem do niego.

— Prezentuj broń! — krzyknął on ujrawszy na ganku

wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tępy — udało się; potem — Do nogi broń! — to nie bardzo kupno poszło. — A teraz nabijać? — ale zagniewany Piekarski że nieraźno spuścili broń do nogi, dodał z cicha:

— No, poczekajcie tylko!... — Więc zaczęli oczekiwać. Piekarski znowu: — A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! więc nabili. — Gotowo? Gotowo! — To znowu — Na ramię broń! — i stoją czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda, do którego i ja wróciłem, na ganku perorował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czem pić będą, bo wszystkie z całego *Uszacza* półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty; a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której prawdę mówiąc, najczęściej było słyhać „*ojcowie święci*“ a której słuchała szlachta z otwartymi gębami — Wypijmyż — rzekł — zdrowie nowego senatora JW. Kasztelana połockiego! *Apel!*... — Piekarski komenderuje: *Ton tu!* kurki *traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem — *Cel! pal!*... jak orzech zgryźli. — *Wiwat!* — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Turczyzny. — Znowu *Apel!* i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci *Apel!*... Jeden strzał zaciągnął... coś mi świstnęło koło ucha... coś brzęknęło obok... a wojewoda posłonił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii: — Proszę się bawić... — a do mnie: — Ojcie święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan... krew połała się potokiem... aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląknem.

— Ojcie święty! ratuj! widzisz, zabić mnie chciano! — Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności: — Gwałtu

ratujcie! — Cicho! — przerwał mi wojewoda — czy sfikso-
wałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera, a sam jedź co naj-
prędzej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia
księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera
w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na
wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgimi końmi; ale że tu właśnie było
periculum in mora, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem
o milę, koń padł; odciąłem postronki i dalej... przyleciałem.

Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoją podróżną
apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuici
dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe czekające na nas konie,
i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego
do Uszacza.

Bo też to sławny doktor na cały świat: *alchimik, astrolog,*
fizykus; a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem
toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można
widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającą. Po-
wiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na
wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek
gębą i oczami rusza, tak, że przysięgłbyś, że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełny chorych, a szczególnie pod-
starzałych dewotek, które razem i peregrynacją do ś. Bobo-
lego, i kuracyę u księdza doktora odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole,
które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od
gwiazdy orderowej, na szczęście lanej ze srebra, siedm dołków
na niej zostawując. Gdyby nie ta gwiazda, na piersiach, gran-
kulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen*.

Wojewoda cierpiał bardzo: krew z ran się dobywała, choć
pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz
doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet
i ból ulżył, i krew się zatamowała zupełnie, a zatem i weso-
łość na twarz ranionemu wróciła. Jednak zabronił *pater* woje-
wodzie sejmikować. Zrozumieliśmy, że pod *allegorją* zabrania,

wiwatów: bo chory chciał zaraz jeden spełnić za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten Niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę dni, i mógłby przytem śmiało ciągnąć *chleb powszedni*.

Winowajcę wnet odkrył *Piekarski*: bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnow zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę; a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzya*, że on był winowajcą, do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dojść prawdy.

Zatem wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcic żaden ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścił; a tak żadnych już suspicyi na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski pewny już swojego, raniuteńko pożegnał wojewodę i wszystkich panów, urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery, a gdyśmy się zebrali do kościoła pod łaską nowego już senatora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: — Zgoda — i na końcu: — *Wiwat!*

Ichmość *electi* wzięwszy się pod ręce, przechodzili po kościele kłaniając się pięknie na wszystkie strony. Wtem odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uściśnął kolegę w babinę, poprosił go aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcyę województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, uklonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do koczka i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan

Reut, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie, i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowczyźnie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczyk, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym co zostanie.



VIII.

PO SEJMIKACH.



tóż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto, a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostrej Bramy*.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niema co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś do niego ciągnie; i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie to... to nie przeszkadza ani *Litanii*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *sekssternik* szust do kuferka, i dobranoc.

Ksiądz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc, że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopiował naprzód dwa jego własne kazania, które z pół książki zajmują, a potem *maxymy* i *sentencje* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przewertował, i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

Sentencje te i akumina jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów*; bo u młodych łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacja ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło; a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryść trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę. W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojnika.



SENTENCYE Z KSIĄŻKI PANA WOJEWODY.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.

Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento.

Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru twego!

3.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.

Czyń dobrze za życia twego, dojdziesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.

Niemila jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zręczności nie zaniedbam użyć tej mądrej sentencji.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.

Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miewa.

Zdaje mi się, że tu ksiądz Maciej chybił kadencyi.

6

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.

Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis questio solvitur silentio.

Kto bredzi, niema odpowiedzi.

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nissi omissum.

Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żałujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.

Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.

Ludzie słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencją podobną do tej w *sonacyi*, ale innego moralnego tensu: — *Vinum bibunt homines caetera animalia fontes.* Tak dobrze jak i ksiądz Maciej mogę ja to wytłómaczyć, na przykład. — Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka — *supponitur*, że kto nie człowiek, to *animal est*.

11.

Audi carnificem, spernens audire parentes.

Kto nie słucha rodziców, słucha katowskich biczów.

I tu ks. Maciej nie trafił na kadencję, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo ze czwartem przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere, nisi.

Nikt bez ale, panie Michale!

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę: — Oj tak, tak, *nikt bez ale, panie Michale*.

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.

Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy — Wszyscy my ludzie, i ks. pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus.

Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.

O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorszenia, i daj Boże nie obaczyć. Tu u nas ks. kapełan codziennie mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkimi rezydentkami respektowemi jej słucha; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajduje porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bono, bonus eris, cum perversis, perverteris.
Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.
Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolały chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają: — *A na coś się na Niego spuścił?* — Jakże tu pogodzić te *contraria*? pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny:

Ufaj! Bóg ci dopomoże;
Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.
Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.
Często nasze radości, są przyczyną żalości.

20.

Quod cito fit, cito perit.
Co się prędko wznieci, nie długo się święci.

21.

Dormit nocte parum possesor divitiarum.
Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.
Cnota, praca i pokora, upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.
Ze dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch sióstr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem: wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swej żoneczki: — *Mała jak palec, a zła jak padalec.* — Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę; maleńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.

Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.

Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.

Śmierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.

Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchiwałem się tej *sentencyi*; tylko tam mówiono: — *Ex libro doctus, ex capite stultus.* — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Que feceris parentibus, eadem a liberis expecta.

Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.

Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach bogaczów naszych.

30.

Ferunt summus fulmina montes.

W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o temby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Roman, romano vivite more.

Kiedy siedzisz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy, a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens tej sentencji.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.

Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potem.

34.

Frangenti fidem, fides frangat eidem.

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamie.

35.

In vili veste, nemo tractat honeste.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimentis non est sapientia mentis.

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otóż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckiem naszym przysłowiem: — *Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

Contra vis mortis, non est medicamentum in hortis.

Przeciw srogiej Libitynie, niema rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas?

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.

Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.

Ostrożnie i wedle miary szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciał ks. Maciej; lepiej niżeli w łacińskim, niema co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Jejunus stomachus raro vulgaria temnit.

Gdy się dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46.

Post mensam stabis, vel passus mille meabis.

Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilescit piscis et hospes.

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitatem moderni.

Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae.

Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.

Kto niechce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencyów, nietylko w dyskursach *sen-satem*, ale nawet w potrzebie i *oratore*m zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody....

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszej z pozostałych następuje:



IX.

UCIECZKA.



an wojewoda tak fulminował, że Bóg wie co by się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus!* gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi Połocki Korsak, przyjaciel i admira-
 tor wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swej stancyi, chwyciłem z kółka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilką talarami i jednym dukatem węgierskim, z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem, i nie mogłem: bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżej o nim zapisał sobie¹⁾, lubo to szczerą prawdą, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę, i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki), i powie-
 dziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka, (a miasteczko nasze tuż za groblą),

¹⁾ To właśnie wydarto.

ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego*¹⁾; to sześć mil diabelnych; i lubo już mrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń sieczony kańczukiem leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół mili drogi, gdy on padł bez ducha, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nade mną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarzało się na dzień, gdy do kościoła się dostał; księży śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor do powszechnego zbudowania był z nimi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z chóru; na korytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale; — bo mnie zna dobrze, i mamy niejakąś choć daleką kolligacyą.

Wytłómaczyłem mu więc niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie — To inna *facies rerum* — rzekł, i dał znak ręką, abym szedł za nim. Kurytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki, i rzekł: — Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i narażyłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie, ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksyja* nie pozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *pod silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

¹⁾ Głębokie — miasteczko teraz w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiej.

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda: „*Kiedy trwoga, to do Boga!*“ Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląknę więc, obróciwszy się ku kościołowi, a postrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tem gorliwiej modlić się począłem; skończyłem na *sub tuum praesidium*; wstałem, a rzeźwiej mi jakoś i weselej już było. — Wolaż Pana Boga! — pomyślałem, pokręciłem wąsa, (ach! ktoby go zgadł, że ostatni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! pierniki, pieprzniki, tłuczenie, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatem porządnie, przypomniałem sobie sentencję: *Vinum laetificat cor hominum!* Wyróżniłem więc flaszkę tej recepty, i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kulakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszcze.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły. — Wstawaj, panie Michale — zawołał on — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka, i naturalna *suppozycja*, żeś tu za furta. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej *peregrynacji*. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem — zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

— To i dobrze; ale cóż tam sobie poczniesz?

— Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, a dworów i panów jeszcze chwala Bogu mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dla czego?



...wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to
żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami;

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem Głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ale na co te myśli o *mamonie*? Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy... Ot tylko namyśl się dobrze a jak poczujesz w sobie *wokacyę*... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej. — No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą); weź stąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoję, potem zda się ci ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogol wąsy — przyniosłem ci i brzytwę w kieszeni.

-- Jak to? mam ogolić wąsy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wåsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi*.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebna jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wåsami gdy kto cię postrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wåsami; ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskimi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak nimi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic*

fata tulerunt! Więc wypilem duszkiem szlanke wina, i... ogoliłem wasy. Aż sam siebie przelałem się, gdy się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrósł we dwoje, warga długa jak u starego niemca, słowem, straszdyłło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazyę chciałem pokręcić wasa... Reszta przyborów nie zabrała wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę; zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego: nakoniec księdzowską czapeczką pokryłem głowę; jeszcze raz spojrzałem się we zwierciadelko, i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zedlu, ani się poruszyłem, rozważałem moję biedę terazniejszą: różnicę między kontuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką, spojrzałem na moję Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i rejestrowałem w myśli moją chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium*, i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojczy Michale! — rzekł on, oglądając mnie ze świecą z nóg do głowy. — Cóż to waszmości? Łzy na oczach? Wstydz się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą co zechcesz; nie płacz więc jak dziecko. Oto masz *obedientia in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego, tak stoi *w obedientii*. A to list odemnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in ocluso*. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł, sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój małeńki zapasik.

— Z przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało.

Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tem nie zubożę. — Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy. — Więc ja z kąta za Elżutkę... a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; okryję ją w wozie z mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna i furman nawet nie zobaczy.

— Oj bo ta szabelka odwozić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłbym... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat*. Nie tracę nadziei... Jedź z Bogiem a ja jutro odprawię mszę za twoją *intencję*.



W NIEŚWIŻU.



ilyż Boże! czym się mógł spodziewać albo pomy-
 śleć przed kilką tygodniami na dworze wojewody,
 że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie
Fratrum minorum, a po prostu mówiąc, Bernar-
 dyńskim? bo jeszcze nie bardzo się przyzwyczailem do tego
 nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębokiego
 tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: — *Homo proponit,*
Deus disponit — i prawdziwie była w tem wszystkiem wola
 Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moje
 ucieczkę i transfigurację na Karmelitę, opiszę tu jeszcze
 w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na
 formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie
 powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha,
 ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis?*
 bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a skąd znowu treść
 w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zaję-
 chałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorzek to nędzny

i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął: — Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencji taką pipę! Waś i mnie samego zjeść gotów!

Podalem mu *obedientia*, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem mu list. Ujrzawszy on na kopercie: *sol*i, spojrzal na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się *Reverendissime!* — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł stamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posił się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę. — Jakoż ja i posiliłem się i siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list po kilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czemby się to zakończyło, gdyby jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest. — Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić Wielebność Waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią i na *konsołacyą*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosa dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, Reveren-

dissime, ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy: — Cóż tu niezrozumiałego? — rzekł. — Ks. przeor Głębocki prosi cię, ojcze, abys oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskim, że ucieczka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże przyczyny, lub jakiego *excesu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis*... *Una salus servire Deo caetera fraudes!*... *intelligis?*... *Prudenter age!*... *et fiat voluntas Dei*¹⁾).

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot to jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

¹⁾ Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność rozumiesz?... Czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która jak wiecie, niebiosą przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*, na czymże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztoru może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale*.

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowadował ją we wszelkie porządki i wygodę, a nakoniec dzban cynowy z wysmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożęństwa, nad zamożną klasztorną *dyspensą* i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne,

poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora Głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie z każdej celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor Głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wypro-

siwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpia łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor Głębocki. — A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, że nie z pod płota wylazł.

Ot to byłaby piękna kapa na *asperges* — mówił on, gładząc pas mój lity — z żupanów gredyturowych i atłasowych ornaty; z kontuszów, *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Dyabeł na świecie tańczy koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod *obedientią*! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod *obedientią*. Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpocząć na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tego, a dla ochoty do Teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i *discipline*, mógłbyś od razu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób *professyą* na braciszka *sine missa*, zostań

z nami Bernardynami, Boga chwał, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek: z tymi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzewał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych *obligacji* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencję nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upor na upor; ale najgorsze w życiu ludzkim te *jak chcesz!* I tak *dobrze*, i tak *dobrze*; albo i tak *źle*, i tak *źle*... A Bóg wie tylko co *lepiej*, a co *gorzej*. Więc czekałem już niecierpliwie niesporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę.

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A jej osobliwszym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie, podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci

służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddał odemnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele, i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migiała przed ołtarzem... gdy w tem usłyszałem stąpanie za mną.. Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfesyjale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląknę. Przeżegnał mię, uściśnął za głowę, ukląknął potem obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystę na klasztorne kurytarze.

Dopałem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakaś pociechą, moje suknie i pasy do kuferka — to, ojcze! — rzekłem, zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniemiemy obadwa kuferki ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum. Kuferki zostały w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza kustosa, udałem się na spoczynek, i bez żadnych żalów lub *molestacji*, najspokojniej zasnąłem.



NAZAJUTRZ.



edwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor*. — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtę zastukał do celi ks. kustosz idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozbrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: — A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycję odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko,

bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i zło to z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny, zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem, bracia mili i przyjmujemy go *apertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą *professyę*.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na *probanta* i *serwitora*.

A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze*? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite pasy materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. *Serwitorów*, *definitorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego co dzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli; podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benevolentią*, i rzekłem: — Podobno *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu tala-

rami — excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!* — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnej twej intencji; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż Bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką? — zapytał jeszcze uśmiechając się.

— Odeszłę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elżutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydzilem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nie do *kontencyi* zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i *experieneyi*, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdy więc przed księdzem prowincyałem postawił przy-

stawkę z kapłonem śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzwszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawia, *ex ordine* pojedynczo przed nim dla examinu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestja pierwsza*: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — *Kwestja druga*: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — *Kwestja trzecia*: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególnie jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgałem się *insperate* na Karmelitę, i tandem za pomocą Bożą na Bernardyna.

Upodobał jakoś nikiemną personę moją ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będiesz waszeć i tam w Nieświżu urządził *sumptem* naszym, a potem obierzesz sobie rezydencją gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w *Nieświżu*, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasyłymi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnymi *omnis generis* i specyałami z klasztoru sióstr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanymi, oraz puzdrem pełnym, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.



XII.

KAPITUŁA.



Wielki, bo największy pan w całej Litwie jest książę Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególnie naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierwej więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyanie udali się do zamku dla *hommageum* księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie *patrów*, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmionych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów, toż siano i obroków do spichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb

zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczać obiecano.

Nazajutrz po solennem nabożeństwie, zbierali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną asystencją swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, orderzy i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Buzzyńskiego starosty, gdzieś wprzód zostawał, wiele się nasłuchiwałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawieszisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz czleka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo tej swojej powierchowości, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotofilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy pytają: który Radziwił? odpowiadają zwyczajnie: książę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski*.

Otóż gdy wszedł książę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a książę prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezencyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tem *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówić), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Książę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kchanku, tę *recognicyą* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązкови.

Po tej ceremonii wyszedł książę; a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sessyach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, skąd jemu ta fantazya? wyma-

wiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sessjach przejdzie mu ochota, i uwolni ich od subiekty ulegania jego *preponderencyi*.

I prawda... uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subiekty, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, ksiązę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waś, panie kochanku! — rzekł naprzód do mego księdza kustosa mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem: bo terazniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ociężał, na nic mi nie przydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku na obławę, ani razu nie poszedł; a waś kiedy tu przed kilką laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza księcia mość mylisz się zapewne: bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet na mojem życiu nie wystrzeliłem ani razu. Ot co jest!

— Co? panie kochanku? nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myśliwstwo przyświadczy! Otóż waś będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waś w *Bucławiu*, waś w *Wilnie* kustoszem; waś do *Citowian*, a waś do *Bienicy*... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli stosować każe.

Ksiązę na to powstał ze swojego krzesła, uklonił się wszystkim niziutko. — *Mea culpa*, panie kochanku, *mea culpa*! — zawołał, i wyszedł pokorniechno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał: Zabrał wszystkie klucze

odemnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy świrnach i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam powrócił do zamku zabrawszy z sobą podsyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomieszały się sejmiki kapitulne; o obiedzie ani pomyśleć; słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodowej śmierci. Prowincyał zatem z dwoma *patrami* udali się na zamek z demonstracją, ja za nimi niby dla assistencyi, a prawdę mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, panie kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiedze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule; a waszeć o tem wszystkiem ani dudu. Za nic macie ustanowionego przeze mnie podsyndyczego, radzicie sobie jak infulaty, panie kochanku, a on, mój namiestnik, z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Książdz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, panie kochanku, Bernardyn ani grosza mieć nie powinien, ani znać nawet sztepla pieniężnego, a waszeć w oblężeniu *tamquam* trzymacie mojego kasyera, gdy przyjdzie termin wypłaty *provizyi*. Odtąd panie kochanku, rzeczy do dawnych karbów zakonnych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawać będę codziennie dla waszeciów ze spiżarni klasztornej obiad i wieszczę; do mnie waszeć na *porcye* i *konselacye* przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*. Ojciec gwardyan niech pilnuje chóru i dalszych zakonnych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, panie kochanku.

— Ależ, mości książę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, panie kochanku! słusznie i sprawiedliwie

to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku, i jeszcze jedną *penitencyę* odbyć musicie. A potem, panie kochanku, zasiądziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorem urządzić będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio* wypadło uleść woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecaney *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to już po drugiej *penitencyi*, pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich książę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbraniał się: — Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, panie kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otóż to druga pokuta, panie kochanku! — wstając od stołu, przemówił książę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki

sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycyi księcia.

Obiady szły jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu *penitentia i obedientia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę powstając:

— Kapituła skończona! *Solwuję sessyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moją duszę, jakoś mi to przyrzekł, księżę prowincyale, panie kochanku!



XIII.

INSTRUKCYA NA KWESTĘ I ODJAZD Z KLASZTORU.



Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *officyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w imię Boże! Ot co jest.

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz dobrze *mores*, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obligowałem, anim tego sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa — *obedientia!* Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojcze! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! A mówiąc prawdę, i teraz jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus*! pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytając baranów nie będę; ile dadzą, tyle nabieram.

— *Racya*! Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus*, jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich chwala Bogu więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprowadzić, od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otóż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesołą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydby im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku na przynętę *koncept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Wać dworak, potrafiśz więc sobie doradzić! ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit*.

Wychodziłem zatem gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć wać naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tembardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będiesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi i rzeźwi*. Spróbuj waszeć. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz wać zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości* ani *Panów*; wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprze-

dnicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!... Daj Boże tego nie dożyć!

— A skądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się *Doktorem ś. Teologii*, której byłem lat kilka profesorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozważałem skąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem francuzczyznę, bodajby jej u nas nigdy nie było!... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tem myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztorneho furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*. Ot co jest.

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykcyę kochanego mego ks gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasza, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za nimi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniu dropiatym, i na koniec ja na drugiej, siwą i trochę chromą ko-
byłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „*Zawitaj
ramna jutrzeńko!*“ ja mu zawtórowałam, i tak pobożnie śpie-
wając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.



XIV.

LEGENDY STAREGO MARCINA. PAN ROTMISTRZ.



Gdzie pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejeżdżając miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niema po co zajeżdżać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, P. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo pocziwiał ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i zwierzyne na swoją cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole, i wie kiedy na jakiego zwierza czy na ptactwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem książę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił

się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagódkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu pocziwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do P. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu pa-ciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, pozwalając baranom poskubać trawki i potrząsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać Kapucynem, bo Kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomościną nie przystało; ale ja i prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkuirowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkuirował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego, jedziem pojedynczo, więc trudny rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie

regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siądę z Jegomościem, i będzie nam obudwom weselej, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z podemnie puzderko, o którem nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Elias i Barabasz przyszli także po swoją porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną — *Hej! dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlekl się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznajome miasteczko?

— To Mir zdaje mi się.

— A tak Mir. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomościu powiem, bo o wszystkim i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać kiedy co warte. Otóż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami; sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne

czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ująć pewnej zguby. Otóż szlubiował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby gdy w *Mirze*, na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* sły-chać było; a to cztery mile mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*, wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie sły-chać w *Nieświżu*. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie sły-chać! a trzeba koniecznie wy-pieścić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w do-brym będąc humorze; baraszkował sobie między swoimi i lgał na czem świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwaj koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztelazem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc — Mości książę! dzwon mirski sły-chać! — Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił — A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pa-miątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba lgać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się po-wiedział do Chodźki — Wasan sam taki panie kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem ochrzcieli go Karolem, zawiesili na dzwonicy, i książę powiada — *Sły-chać Karola w Nieświżu!* A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi — Co ja winien, panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo

i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słuchać go w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczero-złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że księżę wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwej do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy... A hej! dropiaty! na prawo! a hej!

Wjechaliśmy krętą dróżką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namysławiając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć z daleka.

— Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek. — Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnej pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Pamfil pobiegł naprzód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny Jegomość suto i bunczucznie ubrany, w taratatie gęsto taśmami złotemi szamerowanej, z zawieszistą szlifą na jednym ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał lozak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz czterma tęgimi końmi, na którym jeszcze jeden *ślugus* i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem na koniec szły przywiązane dwa konie podwodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsi-
kiem, którego pogłodziwszy wdzięcznie, spojrzał na mnie wspa-
niale, i założył na pendent książeczkę, którą w rękę trzymał.

— *Laudetur Jezus Chrystus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża. Jasnie Wielmożny... Dobrodzieju — przy-
pomniałem w samem zaczęciu naukę ks. gwardyana.

— Stój! — krzyknął on na swój obóz, z którym nam
trudno się było rozminąć. więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niema, odpowiedziałem: wyjechał niedawno do
Białej¹⁾.

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homa-
gium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo niemasz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne awan-
tura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa
wokacya.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu,
jak uważam, lepiejbys wyglądał na koniu i w szeregu, jak
w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć to wszystko,
siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i jeżeliś szlachcic, zrobię
cię towarzyszem w Pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi,
której jestem rotmistrzem. Co waść na to?

Rozgniewany na ten niespodziany werbunek.

— Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżbys
pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wza-
jemnie, abys zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to
wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń świętego Ła-
zarza, a nakoniec nędzny bogacza, który „*Pychę w sercu
swem chował*“, oblekł się w nasz ubogi bernardynski habit.

¹⁾ Hrabstwo Bialskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie
Białostockim.

który ja panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświża*.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencję z mojego raptularza.

— Oho! odpowiedział rotmistrz, to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A już ciż kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycje nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj, rzekł pan rotmistrz zsiadając z konia, nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycjach: bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska — rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie; tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj do wód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów. — A gdy Marcin z innej flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie — To nie nasza podróżna, mój Jegomość!

— A macieź puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JW panie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać rzekł rotmistrz, flasz parę starej a flaszkę gdańskiej kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte — weź na pamiątkę rotmistrza Pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, uściskając pokornie konia tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył ze swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamaszkę, postrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendentą rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: „*Żołnierskie nabożeństwo!*“¹⁾).

O zacny! o pocziwy! o bogobojny rycerzu! pomyśliłem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak *Dawida*, niech wali *Goliatów!* Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam nie ma ani Boga, ni wiary; otóż dowód oczywisty, że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a przecież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza, i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem: Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi Bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskim jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie Wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców, bo worek dyabelnie pękaty; ale teraz ludzie skępieją.

¹⁾ Książeczka ta do nabożeństwa dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

— A milczże do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże nawet o tobie nie zapomniał, i upodobanej wódki starej parę flasz nalać kazał.

— Oj bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiej, wyprosiłem jeszcze dwie starej u tego, który szafuje dobrem pańskim; a zatem mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobrej wódki, niżeli dwa a lada-jakiej, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tem, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a w tem wyjechaliśmy na pole, na którym domostwo pana Bielewicza ujrzelśmy.



U PANA BIELEWICZA. WOŁODKOWICZ.



wielkich puszczech Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się pocziwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają ich ziemię i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary: sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożnem powitaniu; bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach toż samo powiedział; Marcin odpowiedział mu: *na wieki wieków!* ot ja i zostałem się z niczem.

Podwórko małe, ale czyste; na środku krzyż z męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z przyzbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większymi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszymi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu,

za któremi tłuste polćie, polędwice i kielbasy wędzone dyn-
dały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone
stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje
psów gończych płatało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na
przyzbie.

— Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie
zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie
wiedział gdzie zawrócić, a ja zawsze zaczynam kwestę od
Jegomościa — ozwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się
po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliasz* i *Bara-
basza* puść na osiedlicę, a Jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to
córka pana Bielewicza. — No, Hanulko! rzekł do niej star-
ruszek, dodaj do obiadu zabitego wczora szaraka, bo Bóg dał
miłego gościa. A Jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas,
bo choć niewiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz
przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do
nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za
takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra
chętnie przystaję, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy, za łaską Boską,
dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu
Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś — rzekł on — po całej Litwie
a szczególnie po województwie Mińskim, gdy byłem dworzaninem
u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci nad jego duszą, gwał-
tem z tego świata na tamten wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku
na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym; tylko że to fałsz to strzelanie bab
na drzewach, jakby nam innej zwierzyny mało było. Hajda-
mak byli to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajda-
mackie; kto był zuchwalszy, kto duższy, ten i lepszy, ten
miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcej, bo się

lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważać się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał o zabojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola *panie kochanku*, który za życia swego ojca, księcia Michała *rybeńku*¹⁾ hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiej mówiąc, szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwodzić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z jakiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* ułożonej, książę chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia, dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorszego było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu, gdy zginął, polubił on sobie często w pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu dyabluby nie ustąpił! Jakoż nie raz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, i po błotach i po cmentarzach, a wyzywał upiórów i dyabłów na pojedynki; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz — Co to za nieszczęście moje! książę Karol ile razy zechce, to bije się z dyablami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże jemu i podszeptał postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencyę* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go książę prowadził i przyjaciółmi Radziwiłłowskimi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoją w Mińsku na kwaterę oddał i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assynacyę* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było.

¹⁾ Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L. — N. w.

Z początku szło wszystko wyśmienie. Pan statkował; wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskar bim trybunalskim. —

Marszałkiem trybunalskim był natenczas *Sapieha* ¹⁾, a vicemarszałkiem *Morykoni*. Ale *Sapieha* nie przyjechał na początek sądów, a *Wołodkowicz* nie rad był, że niżej siedział od *Morykoniego*, którego włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan *Morykoni* uważny i pomiarkowany pan, puszczał słowa *Wołodkowicza* mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *familianta* czy *Radziwiłłowska*, bo tego nie pamiętam, w której *Wołodkowicz* chciał na swoim postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich dyabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał chałastę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł. — *Kirryelejson!* — krzyknął — odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości. — Pójdę, choćby mię tam dyabli wiaść mieli! pójdę i nauczę tego włocha, kto ja i kto za mną! — Widocznie ufał nieborak w *Radziwiłła*, a *Radziwiłł* był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi *Gromnicznej*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potem czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zosta-

¹⁾ Michał hrabia *Sapieha*, starosta puński, krajczy litewski 1759—1760 r. Vicemarszałkiem Michał *Morykoni*, starosta poniński. Widzieć przypisy. — N. w.

liśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkiewicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szcęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknięto — *Warta! warta!*

Wtenczas ujrzeliliśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on tupał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu *gemejnów*. — Kryminał! krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego*, deputata ludzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfiksu, z rączką od figury Pana Jezusa srebrnej odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana: bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego, gdy ten się uchylił, ciał po krucyfixie.

Porwał więc *Krajewski* zeswoimi Wołodkiewicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus*; porwałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osilek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest, nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pienieł się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując dyablami, że aż uszy wiedły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertasu i samego Wołodkiewicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć excessanta, kryminalistę! — zawołał Morykoni do *Krajewskiego*, — i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelewki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garsć dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem ile on mógł wyskoczyć do Nieświża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blisko karczemki; ku-

piłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Sta-
nałem w Nieświżu w nocy; dostukałem się do dworku znajo-
mego mnie doktora, i dowiedziałem się, że księcia miecznika
niema, że polował aż w Białej¹⁾ na niedźwiedzie. Odmieniwszy
więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko
wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi
i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku,
a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem, prawda, wy-
godniej, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia i to
w głębokich tutejszych ostępach. Gdym opowiadał co się w Mińsku
stało, księżę jak oniemiał. — Panie kochanku! — krzyknął
potem — pan Michał sfiksował się!

— Ratuj, księżę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale
od biedy nie wyratuję. Niema on po co popasywać w kraju.
To exces niesłychany.

Księżę wnet zebrał myślstwo, i w nocy przyciągnęliśmy
do Białej.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księ-
ciem, polowało z nim razem, którym gdy księżę opowiedział,
z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał:
jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy
pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni a między
tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez
ojca mu do konfidencyi akkomodowany, radził jechać do Nie-
świża i spuścić się na influencję księcia hetmana. — Radzicie
mi wszyscy, odezwał się księżę, jak tchórze i partacze! a waść
milszałbyś, rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nie-
szczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie

¹⁾ Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno dyabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć rybeńku nie puści mnie i za próg zamku: każe Mazzanemu¹⁾ zamknąć bramy, mosty poznosić i księcia Miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało? Czy waść sam, panie kochanku, nie instancjowałeś ze mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoją filozofię i morały, któremi mię codziennie napastujesz, a z któremi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessive* sądu i kary ująć nie może, a spokojną i łagodną *influence* więcej książę dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatem gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszej książęcej mości.

I nakoniec... — zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec? — przerwał mu rozgniewany książę.

— Nakoniec możeby przyszło, cedził lęklawie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszej książęcej mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną aklamacją, a potem starać się o żelazny list, czego jeszcze z żadnym Radziwillem nie było.

Książę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczął w zapędzie; odezwał cię jednakże, — Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książę go lubi i z nim najczęściej baraszkuje: bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy, że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *pardon* dla winnego, i w humor dobry wprowadzić²⁾. Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu

¹⁾ Mazzani, komendat tamtoczesowy zamku i fortecy Nieświżskiej.

²⁾ Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten był tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle reży-

uchodzi, bo książę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział.

— Mnie się zdaje, mości książę, że jak zacznem *klin klinem* wybijać, gdyby nas *kliny* nierozparły.

— Mówcie, co chcecie, rzekł nakoniec książę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* ja mam spokojnie czekać aż zginie? Nie moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku, z całem myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj *Nieświż*; w Kojdanowie³⁾ roztasuj się w miasteczku i czekaj

dował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to trefniś z professyi ale niejako locum tenens tej funkcji. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim: ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże exemplarzem, zaprosił księcia na obiad, obowiązując, aby w asystencji swojej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zdobywał go niczem. Po obiedzie król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły: dlaczegóżes dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim faceciście, któregoś tak spokojnie słuchał.

— Nie śmiej, Najjaśniejszy panie! — odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy panie!

— Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencji.

— A jakże nas dwóch pomieści się?... N. w.

³⁾ Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem, po-
ciągnięciem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze; mój dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtkę i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzązki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramię, a przez drugie na takimże sznurze trąbka, przytem koń z całem moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby ksiązę którego złapał, dalby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sto, nie licząc łowczych, bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a to już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśwy się w podróż. Na jednych wielkich saniach lubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał ksiązę z panem Sołohubem i hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym, po cztery konie gąsiorem w zaprzęgu.

Ksiązę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom, ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już i tam i *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ścigali się pojedynczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu...

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadła z nami, ale często wybiegała do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a nakoniec przyniosła panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole: — To, rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwie. Oj, znam się na tem!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Łżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tem wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

— Zdaje się, rzekłem, że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potem gospodarzowi za tak wyśmienite uraczenie, prosiłem o koniec *historyi* Wołodkowicza.

— Pójdźmy, mój dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świeże sianko; odpocznem trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czymże stanąłem? — zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z księciem.

— A tak w Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to: — Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! krzyknął książę, ja ich samych... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piłaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otóż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy dyabli wzięli! panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszej książęcej mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

— Sapiehy bo niema w Mińsku, odezwał się jakiś jegośmość. Vicemarszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia krajczego pchnął od siebie tatara. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę odciał, zrobił wniesienie; po czem nie schodząc z sądów i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty niema do stracenia! zawołał książę.

Periculum in mora! panie kochanku! to znaczy się niebezpieczeństwo...

— Nie tłumacz mi Jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiem po łacinie.

— Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umie po łacinie.

— A ja pierwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita.

— Dziwi mnie także rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno było; trzydziestu pono lat niema; a ja przegadując całą tę historję nie sto razy i dzieciom swoim i różnym tak jak Jegomość ciekawym, wyuczyłem się jej na pamięć.

Już tedy ksiązę miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe.

— My za tobą, ksiązę! — krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł ksiązę, że biednego Radziwiłła nie upuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku i ja z tym! A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela.

W tem mocno zastukano do karczmy, a że pełną była więc żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś — A jest tu ksiązę miecznik litewski?

— Jest, panie kochanku! A kto waś taki?

— Rupejko, dobry sługa waszej ksiązęcej mości. Jadę Nieświża i pilno mi do księcia pana.

— A puścić pana podstolego — zawołał ksiązę.

Podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancję, wyniósł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i skąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszej książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; wiedział raptowny wyjazd księcia z Białej, wiedział cały marsz armii myśliwskiej i wszystkie noclegi a popasy samego księcia; dla tego wysłał mnie tu wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książę hetman gdy z zamku wyjeżdżał nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! otóż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem?

— Niema się czego wstydzić, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatem zaczął perorować pan Rupejko przed księciem jak przed trybunałem. Już jego oracyi spałmętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książę, jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mieszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię: że *Radziwiłłowie* wiernie zawsze i pocziwie służyli krajowi; że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy książę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza książęca mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wykierował, cała zatem wina tej akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suspikować* będzie znowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw *Radziwiłłowskich* wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał

księcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec książę impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa, mości książę! Zaniechać Mińska wrócić do Nieświża, uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekację. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek jak nazywacie *status*, niech w wieży fundowej odpokutuje... Ale śmierć panie kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie, on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli radź inaczej! ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

— To poczciwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudna insza rada, mości książę! rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekrete.

— Czy niemożnaby dopaść do Sapiehy?

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni i tem spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana przez umyślnego, który dziś z rana odjechał z Nieświża z rezolucją; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowej ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana vicemarszałka Morykoniego, który także odzywał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu? — książę zapytał patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumiał. Wszyscyśmy milczeli...

— Trybunał, mości książę! zaczął znów pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby *suspendować egzekucję* dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć książę, rzucił się Rupejce na szyję, ścisnął go, całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

Widzisz-bo książę, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególnie zastanowić się trzeba. Książę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiegokolwiek *influencye* w tej sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświżskich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca łatwo prześlągam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu obejdzie. A i moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiegokolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wschodzące, niżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego...

— A jeżeli się nie uda? — odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

— I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości książę! odezwał się nakoniec i pan Sołohub, niech pan podstoli próbuje szczęścia; projekt jego jest mądrym: bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołod-

kowicza. Niech jedzie i *operuje*; my tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim księżę hetman przysze tu *husarye*, aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! nie ma co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytem wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach, stanęło na tem, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na oblawy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotykają, a tam co godzina miał księżę mieć wiadomości z miasta.

Potem każdy drzemał jak mógł. Księżę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego księdza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze, człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tem, że równo ze dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawiął koło śniadania, jakoż jak na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wysmienitych dwie misy zrazów, które zając księżę odezwał się. — Otóż nam dogodził pocziwy Kin! gdyby nie *kalwin*, zrobiłbym go, panie kochanku, *infułatem ołyckim*.

Raniuteńko, księżę i myśliwstwo całe i nowi przybysze, przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości, siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Księżę puścił się klusem, i już mil z parę ubiegłszy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabiej i że wytechnąby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie, pod Mińskiem popas, i tam dosłyszysz Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił książę, ujrzelśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potem Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Postrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia — *Już po wszystkim!* rzekł, *nie żyje!*

— Kto! Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie, i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdy z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o wpół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niechże mię ziemia pożre, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Za mną! kto w Boga wierzy!

I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskresim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozplątam. — I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw, trzymając zawsze książęcego konia za cugle.

— Plataj! jeżeli chcesz, książę! wolej zrób ze mnie Piotrowinę, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić.

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowiny, ani żadnego deputata, (trzeba Jegomościu wiedzieć, że Surwint pocziwy żmudzin ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach ś. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc pouciekali, i sam nawet

pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy; a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczora wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że ksiązę z wielkiem wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Ksiązę więc zszedł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy. Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Ksiązę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedję — rzekł do niego.

Nie ma co i mówić, JO. ksiązę panie! zastrzelili i po wszystkim — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. ksiązę! jak on napadł na trybunał...

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko co było po dekrete.

— Po dekrete? Jak jemu przeczytali w kordygardzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcic, mówił; kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatem wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gimejnow, włożono mu łańcuszki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym, gorzko płakać zaczął; żałamywał ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko ¹⁾).

¹⁾ Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej. Ostatni umarł jeszcze w 1812. w powiecie oszmiańskim. N. w.

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie opowiedzieć ja mogę księciu, co się ze mną działo, gdym postrzegł okutego mojego pana. Hrymnałem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczu. Warta, choć to żołnierze; a także płakali, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. książę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem; dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskim, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

— To dobrze! i z cicha dodał: księżę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnej stamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnej szczególnie, ale po mieście jak w bęben biją, że księżę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów. — Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim pocziwym żmudzinem.

— Życzylbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu nie ma żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wypowiadać się.

— Wyspowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się z swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo,

że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcuszki włożyli, że go śmiercią straszycie, gdyby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiliły, a z Panem Bogiem łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przycięcie krucyfixu zmuruje kościół pan mój; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, a i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś pocciwy szlachcie, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczej, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mnie za rękę, że ani ja sędzę, ani ja kuje, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i... — Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył — i *rozstrzela!*

Usiadł potem na zedlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyslił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamysłonego, a on, nie podejmując głowy — Bądź zdrow! powiedział, obaczmy się może i na Józafatowej dolinie! a ciszej dodał: — Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświza, bo zginie!

Nie wiem czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie, i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie, i w bramie i na wschodach srogie porozstawiano; po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, agenty i rejenty, kompaniami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili — Już po nim! Dekret trybunalski! apellacya do Pana Boga! spadnie galka! — Drudzy mówili — Trybunał z dekretem, a *Radziwiłł* z muszkietem! Obaczmy zaraz gościa, mówili... On go z tej kozy wydobędzie, a od *Radziwiłła*, to już go i sam dyabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucyfixu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod lampą. To mówili — Dyscyplinował on nie jednego, niechże popróbuje

tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomieszało; rozpychałem tłum nie nie odpowiadając i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów, otwartego przed nieszporamai, dałem talara na litanię i na *Sequeris*, i krzyżem leżąc, słuchałem tego...

— Mniejsza, rzekł książę, o twoje własne *particularitates*; mów co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swoim łóżku, bo mu pierwej już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił się tam godzin z parę czy więcej; obudził Wołodkowicza, wyjął z zanadry papier i rzekł doń — Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania *delikwenta* we trzy godziny.

— Jakto? — zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobyl potem Krajewski zegarek — Pół do dwunastej, rzekł: masz czasu do pół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niema żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, gdybym miał tak marnie zginąć! gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami a wlokąc łańcuchy po ceglach. Szwykowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtem wszedł książdz, i Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich — Baczność na delikwenta! głową odpowiadacie. Sam wyszedł.

Trzeba wiedzieć JO. książę panie, że ja z kościoła po-

szedłem do celi księdza brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myślałem ruszyć do Nieświża, szukając księcia. Otóż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz Gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojczy, za tym żołnierzem, rzekł Gwardyan, wyświadcysz i przygotujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić, odezwał się żołnierz, aby ksiądz spowiednik wziął z sobą święty wijatyk, lecz aby siedł bez dzwoneczka.

— Jakto? rzekłem, wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem, odpowiedział żołnierz, a robię co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku, na kroków jakich pięćdziesiąt szyldwachy, i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linię przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał: — Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu było pełno na rynku, a z sądowej trybunałskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł. — Już dziś nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go i przyprowadzili, ale kiedy i rozstrzelają, to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczałem. W oknach tam światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować, co by to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwachy stanęły jak wryte; wnet strzał drugi mniejszy, a potem cicho i jedna już tylko świeczka migiała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata, uciekającego śpiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę — Stój! księżu!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź za mną.

— Nie, rzekłem trzęsąc się jak osina, pójdę, obaczę nie-
szczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną. —
I pociągnął mnie za rękę. Otóż, JO. książe, w celi, gdy mnie
trochę drzączka odeszła, odpowiedział mnie ksiądz brat ostatni
termin Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włożył się po kordy-
gardzie, daśał się i zlorzeczył, ale jak postawił krucyfiks na stole,
a przed krucyfiksami złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrzał
na Ukrzyżowanego i przyszedł mu widać na pamięć jego
exces i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana —
O Chryste Jezu! zawołał płacząc, zgrzeszyłem! śmiertelnie
zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję!
Przepuść winę moją, i kiedy już mam śmiercią zapieczętować
grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystym
sumieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! Odeszliśmy więc, powiadał
mi ksiądz brat, w koniec drugi izby; usiadłem na zedlu, on ukląkł,
i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skrucę i żal mieć szczery,
jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską
i skrócenie czasu, którego by pewnie użył na dalszy grzeszny
jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa
srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc i mam nadzieję w Bogu dobro-
tliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązaniem będzie
i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem
modlitwy nad konającym. Aj ciężki to obowiązek, mój bracie,
kapłana, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym,
który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie... Serce mi się
krajało z żalu i własnym życiem odkupiłbym młode jego lata.
Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy...
a nuż cud Boski... i skądkolwiek salva!!!

Krajewski spojrzał na zegarek na stole leżący, na który
ja oczu obrócić nie śmiałem, powiadał ksiądz brat, przeszedł
się jeszcze razy z kilkanaście, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojcie! uczyniłeś twoję powinność gorliwie, ja muszę moją wypełnić!...

— Panie rotmistrzu! rzekł powstając z klęczek Wołodkowicz, na dowód, żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą lży sobie obcierał. — Panie! rzekł mu przytem, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moją nieszczęśliwą terażniejszą godzinę. Księżę! wracaj już do siebie...

— Nie, rzekł Wołodkowicz, nie opuszczaj mnie ojcie! Patrząc na tego, który mię z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu tej prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! rzekł znowu Krajewski, czas jest... Skinął na unteroficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce — O Boże! Boże! wykrzyknął, o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Książę Karolu! gdzieś ty?

— Nie gadaj waść, nie gadaj, przerwał książę, becząc w głos jak dziecko, nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno... Darował on nieprzyjaciółom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże dalej?

— Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza — Nie zechcesz zapewne, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce i podprowadzili, a raczej podciągnęli go do muru. Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

— Ja podbliżyłem się natenczas, powiadał książę brat,

i przykładając krucyfik do ust jego, rzekłem głośno — Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

Cud boski! cud! na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić — *W ręce Twoje, o Boże, polecam...* Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając krzyknął — Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew rynsztokiem płynęła; skinał więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. książę, od księdza brata.. — mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. książę, bo wyszedłszy sam widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta, i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę, i dowiedziałem się, że dla tego od razu nie zabito, że on, jako pobożny katolik, (kto by się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca, i za żupanem je znaleziono.

— A czemużes wać tych kul nie przywiózł — rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej, i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.

— Oho! odpowiedział Krajewski, żeby potem niemi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wyprawił mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia, i spotkałem waszą książęcą mość.

Po tem rozpowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, książę milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierznia. Książę zawrócił przed kościół, za-



...podbliżyłem się natenczas i, przykładając krucyfiks do ust jego, rzekłem głośno: — Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

wołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żalobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jej nabożnie, a po ukończeniu, ksiązę zaintonował: *Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!* a zatem w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Książe odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał, — Czy waśc szlachta?

— Szlachcie jestem, mości ksiązę, z pod Oszmiany.

— A, to waśc szlachcie oszmiański! a czemuż to, panie kochanku, obie nogi masz w butach? — (Bo musiałeś to jegoć słyszeć, że nie wiedzieć skąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bucie, a drugą w łapiu nosi).

— A ja, odezwał się Surwint, szlachcie z pod Rosień.

— A, to waśc Żmudzin, panie kochanku! No! obadwa z pocziwych gniazd i pocziwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną do Nieświża; potem obaczym, kto do czego zdatny.

Uścisnęliśmy kolana książęcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otóż masz jegomość dobrodziej całą historję śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzył, a na ostatni koniec Hanulka moja zaśpiewa jegomościu pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią złożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczynka do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomościu pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałam, tatulenku!

— Nie kłam, moje dziecko! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem *Żabeczycem*, twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i cienki.

Obacz ojczyzno, jaka twoje strata!

Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?

Ledwie ze światem zabieram przymierze,

Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.

Wiadomy Bogu, przyjaciółom miły,
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.
Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
Dom starożytny, senatorskie progi,
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczału
Nie każe czynić pod sądami gwałtu!
Mnie z sądów wzięwszy sędziego elekta
W równości kresła, formują dekreta.
Omijam innych, ty cioteczny bratem
Szwykowski będąc, stałeś mi się katem;
Z mych ręk przez cię odebrana szabla,
Krew niewinnego wlewa na cię Abła.
Sądzą mnie zatem nie dawszy patrona —
Wszak i zabójcom wolna jest obrona —
Kują i biorą do ścisłej katuszy
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta —
Zegarek na stół — tak liczą momenta!
Wtem i ta Matka, co cały świat broni,
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
Gdy blisko do mnie wystrzelone kule,
Od jej obrazu spadły jak pakule.
Czynią poprawę, srogości dość ze mną!
Jam rzekł: Maryo! zmiłuj się nademną!
Zatem gdy acz co wszystkich nas nie minie
Nim się w Józefatowej obaczym dolinie,
Żegnam cne domy, gdy mi czas domierza,
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,
Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,
W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach¹⁾.

— To widzi Jegomość, jak to on składnie skoncypował,
i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud, dodał

¹⁾ Pieśń tę czyli lament jeszcze i teraz posłyszeć niekiedy można
śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie. — N. w.

Bielewicz, bo on przez całe życie książki ani pióra w rękę nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył — rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko Jegomość... pomyślił pan Bielewicz. — A dalibóg że prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra Jegomościna głowa! od razu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie złożył.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszkę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiadliśmy do chłodnika i kurcząt, a po wieczery każdy w swoją stronę na paciorki, a potem na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł — Jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przededniem wybiorę się na młodzież i na zajaczki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam Jegomości dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedziny, i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach*.

— Nie, nie, odezwał się słysząc to Marcin; spać długo nie dam mojemu Jegomościu. *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje*. I my przededniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończemi i wy-

żłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myśliwstwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko ciągnąc się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słońko się pokazało. Pan Bielewicz skończywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, *zajaca*.

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;
Siedzi sobie lamentuje,
Testament życia spisuje,
Śmiertelny! śmiertelny!¹⁾

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwce zapuścili się drożką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakoniec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho! ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

¹⁾ Dawna piosnka myśliwska. — N. w.



POPAS I UWAGI MARCINA.



zwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru i przy *Barabaszu i Eliaszu* trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce nawet mojej do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotych. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie pocziwie i po chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owym niedowiarstwem i zgorszeniem, o którym ksiądz gwardyan nadmieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołym niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? mówił Marcin: mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróży, i baranów napasimy, i sami posilim się, i nie nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą

piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć żebranię; na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podłotek wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weteraństwo poważne, niema co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem, kłaniając się *humillime*.

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus*, jak się potem dowiedziałem, starosta. Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie masz gdzie popasać księżę kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy i powlekę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między mojami i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżę kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JW. pana, byłem nie przyczynił *subjekcyi*.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani; a zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i koni i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: — Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — Zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do conceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość: bo ja, pamiętając na instrukcję księdza gwardyana, umiałem

trzymać język za habitem; наконец przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księże kwestarzu! rzekł starosta: obiad podróżny, krótki, i porcyj barnardyńskich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mnie nalewała i posiłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dzieci po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu! jarząbków cztery, a nas pięcioro!

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj. *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyśliłem, coś z wojewodzińska zakrawa. — A jakże? JW panie! aż do *Poezyny inclusive*: a Alwar gryzłem na pamięć, jak rzepe.

— Zapewne uczyłeś się i Arytmetyki?

Uczyłem się i Artytmetyki, lecz zostawszy kwestarem, najwięcej praktykuję *addycję i multiplikację*; dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne, a o *frakcyach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

— Otóż, pomyśliłem sobie znowu, i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy co wyciągnę.

— A więc daj experiment, rzekł starosta, ze swojej nauki, podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokazesz, powiem żeś gracz i żeś kwestarz, *re et nomine*.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dywidendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta, i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem. Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje; panicz, panienka i jarząbek, to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

— Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacji*, jeżeli JW pani dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujęmu ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JW panie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, byłem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo i my też powlekliśmy się za nimi.

— A cóż! mój Jegomość! rzekł do mnie Marcin, baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich.

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mię starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

— A rozpowiedzieli. Ale to widzisz mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz jak tam dalej. Coś mnie wszystko zdaje się, mówił Marcin trzęsąc tabakę z różka, że Jegomość nie samowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

A na cóż mam się domawiać. Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę a zwyczajnie barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomości! Nie pocieszysz się ks. gwardyan z naszej kwesty; a Jegomość pójdiesz znowu na *kanaparza*.

Czego chcesz? Kilka dni jeździm, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazybierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swymi wylubudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało *ze czterdziestu* i *tuz kozerny*. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzę*. A dla Jegomości po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przysłoby i zęby na policy położyć.

Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otóż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on bywało powiadał — Napilem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsim. — Ot już jest i baran.

Albo bywało prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu — Dajże dobrodziejowi i talara twardego, abym miał czem za monetę zapłacić. — Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel księżę kwestarzu, choć dwie. —

Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz dobrodzieju! — Ot znowu chcą nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. Szlachta, rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami kozuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołądźmi ukarmiają, bo lubią kielbasy i słoninę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Obaczysz waszeć jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się, nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz obóz, wiele sąsiadów i sąsiadek, zapalono krupniczek w kilku miskach i posilałiśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz *Jacek* lubił pociągnąć; wypróbniając więc drugi lub trzeci kubek: — Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

— Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj, nie to лихо, gorzej! Oto! wszyscy z mocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi i teraz wszyscy kachu kachu — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia, całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otóż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale diabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki aby całe piersi pokrywał.

— Ale to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł:

— Jedź waszeć, księżu Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i pocziwi, a przyjaciele Bernardynów, niechże nas ratują. — A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze — Pamiętaj waszeć, biorąc słoninę, mierzyć polcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! szczególnie imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcywali głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie; ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę polciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moją *dividendę* jarząbków.

— No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, rzekł on pokręcając głową, masz i Jegomość oleju; ale komparacya jegomościennego rozzumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztełańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj Jegomość, czego bardziej Bernardynom potrzeba?

Wtem dropiaty zawrócił się do dworku blisko gościńca.



XVII.

U WDOWY.



a dziedzincu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kur i indyków. — Nie byłem tu ani razu, rzekł Marcin, ależ widać, że tu dobra gospodyni mieszka; półrokuby cały klasztor wykarmił się tem ptactwem. No dajże Boże Jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas. — Podjechalśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni posłyszałem, cienkie, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biedę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę do pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdóweńka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biedę,
Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby.
Na środku stał długi stół, nakryty dywanem, a za nim



— Precz wasanna! czy to ja sama nie wstanę? Ksiądz kwe-
starz gotów pomyśleć kto wie co!

siedziała imość, której pieśni przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczkami trochę zachmurzonymi i noskiem zaczerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki wieków! — I trzymając się za stół, chciała powstać; lecz gdy posłoniła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyla i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! ofuknęła ona odpychając córkę; czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co!

Widzi Jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi.

Siadajże Jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla Jegomościa, mam, a może i dwóch, obaczmy tylko, obaczmy! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczki. — Podałem mojej. — Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczorek: wędlinki, ratafi i starej gorzałeczki — na co pozwoli Jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwareczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie na dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyk mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej, a tej kłepie, dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa mojego przemówić. Zmordowała się jednak, czy języzek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodziki? — zapytałem w niepewności, słysząc, że ją kłepą zwała.

A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wołała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienska na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtem i podwieczorek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella*, i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

— Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafił trochę zażywam. W ręce! — Spory kieliszek machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę; poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, suplikuję, nie wytwornie, ale pokornie. — Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otóż; mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moję tabaczkę. Jegomości dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakieś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa jak z pistoletu, i z pięćset lat mi nażyczyła.

A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńką, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomościu dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, *sympłaczek* sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwareczek, a ja posagu *pasz!* więc mnie rodzice za niego wydali; a on wraz mnie całą swoją substancję zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu i słuchał co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu, a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mieszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek — ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się! Skosztujęm ratafił, księżę kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowiec długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki,

sensat a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podjeżdżać a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklarację, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i *sensat*, był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie i jeszcze przymuszał mnie, abym mu zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak, a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomościa naruszył i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziko, że nie było czego.

— Oto! jako? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dlatego potem żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy i sama nie wiedziałam co począć po jego śmierci? Różnie głowę moją łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy pułk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniasz! wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Pułk stał stąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozłokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę

ukraińską, załośliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam i rozamorowałam się zupełnie. A do tego — moja duszko! mój aniołeczku mówił on, będę cię na rękę nosił, będę cię zwierzynką karmił, a jak pojedziem do moich fortun, w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po ślubie szatan go opętał. Jak wrzaśnie nade mną Babo! dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał — Babo! dawaj pieniędzy. Czy to ja darmo młodość moją takiej szkulepie zaprzedałam? — I nie długo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek, (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wyspowiadałam mu się przed ślubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zakłęty i ruszył do pułku.

Rozumiałam że i nie powróci. Żal mnie zrobiło się nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to myślałam sobie młode piwko, uchodzi się: wybierałam się więc za nim do komendy: aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza, hajdamaków z pułku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany i bale i pijatyka: a wszyscy krzyczą jak na złość — *U wdowy chleb gotowy!*

Poszło wszystko świdrem i pieniążki i wędlinka i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska chałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? O ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświzkich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański

znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozie*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana viceregenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za kark, wyniósł za drzwi i rzucił z ganku, tak, że ten nieboraczek ledwo powstał, a do mnie wpadłszy krzyknął — *Babo! kiedy kochasz, kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!* — A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę. — Skosztujem po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! Wolej zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyk drugi mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się: a ten trzeci bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały a ja *pijaństwa cierpieć nie mogę*. Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli, ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął — *Słuchaj babo!* (choć Jegomość dobrodziej widzisz sam, że ja jeszcze nie baba) *słuchaj, babo!* ty pójdziesz za mąż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biedną Teresię, (co to do jego należało?) ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po waszym ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obojgu głowy poskręcám. — Czy to może być, mości dobrodzieju, gdyby on został upiorem? Jegomość taki lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodzik! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiej nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A są sposoby, przerwała mi imość mowę; wiem i ja o tem, mój dobrodzieju! i pan viceregent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaneńki leżał sobie spokojnie w ziemi i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to i nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszeruje. Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak Jegomość dobrodziej radzisz?

— Ja dobrodziejce zupełnie inny poradzę sposób, i pewno skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodzieju, słucham.

— Oto, daj naprzód dobrodzik! na msze święte, na exekwie i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poślubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waćpan dobrodziej, jako osoba duchowna, nie powinienesz w to mieszać się, co do jego nie należy.

Otóż i po moich baranach, pomyślałem.

— Ja-bo tylko chciałbym ochronić dobrodżikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spojrzał.

— Już my sobie damy rady bez Jegomościa, a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babula i uciekłaby pewno odemnie, gdyby mogła powstać, ale zapróbowawszy razy kilka, osiadła znowu.

— Wiesz co? dobrodziko! rzekłem, zapijem tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak. — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropki kieliszek. — Niechaj sobie i tak! A do tego widzisz wasan dobrodziej, że pan vice-regent, to mądra głowa, on wszystkie statuta na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść za mąż, to córka nie może wyjść pierwszej od matki i musi czekać, aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli, mknęła z cicha — Oho! ho!

— Co to waspanna mikasz? krzyknęła imość, co to waspanna mikasz? Mikaj waspanna nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała. Co to? bunty?...

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany, do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów a na sukces z czwartym, czwartego.

— Na sukces z czwartym!... at niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo... kołtun ten przekłety...

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzemać zaczęła.

— Kołtun ten przekłety... i głowę i nogi odbiera i tak coś morzy... morzy... Na success z czwartym.... czwartego... panna Teresa... i Rzeczpospolita... Upiorem zostanie...

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała jak w trąbę. A panna Teresa, podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jej intencję, czterech baranów wydać kazała.

— No, rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali, daj Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami. — A gdym mu rozpowiadać zaczął całą historię tej kwesty — Wiem o wszystkim, przerwał mi i więcej wiem, niżeli Jego-mość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wie, że palestrancik,

którego ona dla siebie kaptuje, jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i ślub z nią weźmie. Już ma indult gotowy i wszyscy we dworze wiedzą o tem, ale nikt jej tego nie powie, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otóż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moją kumę, która wszystko mnie to powiedziała i króbkę naszą podróżną napakowała wędlinką.



XVIII.

U PANA STAROSTY.



późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty i lubo z pałacowych okien świeciło jeszcze jak z kościoła, wołałem jednak zajechać na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić panu.

Obaczmy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął pocziwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiegokolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawne dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazją odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salva* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrem postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętką, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tem bardziej, że we dworze tym zbudować się i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrowia, ale wszędzie ład, dostatek, wygodą. U pana wojewody szumno, huczno, buńczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty nie z bojaźni. u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkimi; a u nas bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek musiałem codzień rano rozsądzać nocne sprawki libery i boćkowskim hamować procedera.

To, pomyślałem sobie, dom staropolskiej cnoty i poczciwości. — A tu kto mieszka? — pytałem się, stojąc przy stajni u masztelarza, wskazując na jedną oficynę.

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy; ot byle biedny a poczciwy, to i ma chleb.

— A w tej drugiej oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycyi; oni zawsze na pokojach pańskich, i do pańskiego stołu siadają, i koniki swoje pańskim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy chwała Bogu nie próżne.

— A w tej trzeciej najdłuższej?

— A w tej trzeciej, to grunt. Widzisz Jegomość, że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebowodawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie tej najbliższej od pałacu, bo już pewno Jegomość zapytasz, same babstwo, Panie odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare szkulepy. Jak zacznem w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wie?

— A może Jegomość dobrodziej naszą stajnię opatrzy? Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit*, Chrystus venit! wykrzyknął pan starosta, postrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. Dziękuję wam, księżo kwestarzu, żeś moją obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na *sentencyę* odkładając, rzekłem: — *Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus*; lecz ja, stawając tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyty! Marszałka do mnie! a gdy ten wnet się okazał, mamy gościa, rzekł doń starosta, którego sam wczora zaprosiłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

Co dwór to marszałek, a wszyscy jednego kroju; każdy powinien mieć głowę nie dla proporcji, nosić się nie tylko chędogo, ale i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfudować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preeminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z łaską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska pierwszej panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feller* i miejsce i konsyderacyą utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko... ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest *dziej się wola Boska!*

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officiach*; posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, widać niedawno z pod *feruły preceptowskiej*, bo nieśmiały i nie nabral jeszcze dworskiego *szyrmu* ani *lustru*; ale drugi całą gębą *homo*, bo i *persona* i *eloquentia* i krotofilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobrej widać żyją komitywie. Żartowali z siebie wzajemnie,

jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacye* jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani starościnej.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

— Dziecko-bo jesteś, mój kochany podstolicu, mówił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu; męczysz się codziennie i suszysz sobie głowę, smarząc do niej wierszami jakieś *fabuły*, jakieś *dyalogi*, w których wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, *Cerery* i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno poezymę przeszedł; ale cóż, kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz z daleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer znowu toż samo: panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan. *Jezu mój Panie!* idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy poglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodzinka gruszczenka, mój podstolicu! Przecieżes chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeźwym i ochoczym, harującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci pryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? Wskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie. Nie prawdaż? panie Sebastyanie! rzekł do marszałka. Tak po naszymu!

— Bywało — odpowiedział kłaniając się marszałek. — Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio!* — odpowiedział ten, kłaniając się wzajemnie, i obadwa rozśmiali się, a ja z nimi trzeci. Pan podstolic spokojnie tylko popijał kawkę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! odezwał się znowu do mnie pan chorąży, wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JW. staroście. Opowiadał on nam wczora twoją dowcipną *dividendę* jarząbków i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księżu kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu u nas jak w raju; nie zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codziennie msza święta, na którą oto i dzwonią.

— A więc pójdziemy, rzekłem; może jeszcze trafię posłyszyć księdzu kapelanowi — i trafiliśmy wcześniej.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapelia była na chórze: bo to nie kaplica, ale kościółek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił masztalerz: kilka babulek okularowych każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się po trosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziatkami do kościoła i zasiedli ławkę w *prezbiterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże na najdłuższy wiek pobożnym państwu, a na zasługę u Pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładnie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWW. starostowie oboje, przy nich dziatki, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej, z głową

pudrowaną, z włosami w tył zebranemi, z harcapikiem na potylicy, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie Niemiec, widać że luter, dla tego J. ks. *celebrant* nie dał mu patyny i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie i panięta mile się ukloniły, a Niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało, i poszedłem za księdzem kapelanem, który mnie do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszono, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiedział ksiądz kapelan, *fraucymeru* pani starościnej. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten Niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dla czego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu Niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś szoldra dyssydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

— Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich, odpowiedział ksiądz Joachim, bo to przekłety heretyk, bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie Niemiec, ale Francuz, i nie doktor wcale; mamy tu doktora pocziwego Węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje, i to nie ciało, ale duszę! a co najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuzkiego.

— A dla czegoż, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych

zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Nacóż go wpuszczacie do domu Bożego.

— Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziełek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a tymi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamuć poczywa i łatwowierne głowy.

Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególnie w domach pańskich, nie tylko przytułek i wygodę, ale nawet i konsyderację wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

— Bóg gdy chce kogo ukarać, to rozum odbierze — powiada dawne przysłowie, otóż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg własny staroświecki poczywy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuski terazniejszy, bo dawniejszy rozum i francuski nie był takim. Terazniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuskim, z ludźmi francuskimi, a najbardziej z książkami francuskimi rozszerzać poczyną, między panami naszymi najpierwej, a przejdzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład ani stąpić bez francuszczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Stamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu nie źle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i samą panią, którzy umieją po francusku, którzy jako pobożni katolicy, nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdo-

waniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnym duchu jego braci, poznałem co się święci. A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który od razu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nie nikomu nie mówiąc i owszem tając się z mojem postanowieniem, do francuszczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykeyonarze i książki w bibliotece pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcenia lekcjom jego samego dzieciom dawanym, a nocami i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonalać się codzień i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozporował się Francuzisko w swojej ulubionej materyi, jak on nazywa filozoficznej. Wielu było panów umięających po francusku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym eksklamacyom. Dowodził, że duchowienstwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

— Kłamiesz! beczelnie kłamiesz! odezwałem się. Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umięając na chleb zarabiać, nasz zjadać przychodzą i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć jegomościu zdumienia powszechnego, samegoż Francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapany, nakoniec pan starosta rzekł — Księżu Joachimie! czy cię Duch święty darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoją naukę ukrywał? i dlaczego?

— Nie tailem się, z nauką JW. panie, odpowiedziałem, bom jej nie miał, ale w rzeczy samej wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa.

Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po

francusku; dziś oto rozumiem i mogę śledzić tego węża kusiela, starć mu głowę jego własnym orężem, a zasłonić przynajmniej działki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz*. Starosta wstał od stołu i uściśnął mnie. *Konfuzya* francuska była wielka, i tem większa, gdym mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francusku, a oraz gdy pan starosta dodał — Odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekcyi, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przedemną zamyka, ale i do tych dobiore się kiedyś.

Przy tem rozprowadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materji powiedział, powtórzyłem je księdzu kapelanowi.

— Tak, tak, rzekł on, miał rację twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zręczności dojść tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpierwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuskie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego, co dotąd jest u nas świętem i nietykalnem. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydną rozwiązłość i samolubstwo: lecim więc na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

— Dla Boga! rzekłem, ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

— A cóż mogą nasze poziome rozумы i sposoby przeciwi woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ale czyż rozumiesz, że dla tego wiara

nasza święta chrześcijańska upadnie? O, nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszają jej! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów*; któż je spa-mięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz i powiedział mi, że to przyjechał pan *Kwetko*, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwoził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za nimi, po benedykcji, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy! — odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie, odpowiedział on, niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui tenet!* więc niech szlachcic prawuje się a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!* odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księżu teologu, odezwał

się pan Kwetko. *Teologia i jurisprudencia*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak, odezwał się starosta, ja jestem zdania księdza Joachima, i dla tego niżeli na nowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy.

Ale o tem potem, a teraz, księże kwestarzu, ponieważ twej *dywidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, podbudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu pan marszałek, pokazał miejsce samo jedne na samym końcu stołu długiego naprzeciw pani starościny, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu, rzekł, *miejsce kwestarza*, a to twoja *porcja* — do-
dał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem i rozsiałem się wygodnie, a poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzieindziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JW. pana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle, odezwał się pan Kwetko. Kwestarz powinien być *jowialista i koncepcista*; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomością; a jeżeli jegomościu na tem brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany

po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich ¹⁾. Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum, rzekłem, którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? panie budowniczy! — rzekł starosta. — I ostrzegam, nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiej jak w ustępnej.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy kiwnął głową, i po chwili milczenia, zapytał mnie:

— Jak to, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemshalnych; posługaczów, *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyśleć się, o co idzie panu budowniczemu. — Nie wiem, rzekłem, żadnego osobnego nazwania. Pospolicie zowią nas podług *officyów*, do jakich kto przeznaczony: *brat kwestarz*, *brat serwitor*, *brat zakrystyan* i tym podobnie.

— Nie, nie; jeszcze osobna a ogólna *denominacya* dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju! — rzekłem, a już przewidywałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo nie podobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swoim imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się *pałkuć*, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nie prawdaż?

— Prawda, rzekłem, tylko że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje.

— Ale kiedy jegomość tak biegle w *denominacjach*,

¹⁾ Zwyczaj to był dawnej palestry trybunarskiej i wiele stąd zostało anegdot, krążących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć nieśluszenie. — N. w.

to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak na przykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna *denominacya*, z którą się nieraz pewnie zdarzyło jegomościu spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy — rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj, nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko jegomość nie chcesz onego wymówić, bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu powiedz nam to zakłęte słowo, którego pan budowniczy wymówić nie chce — rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić, rzekłem; mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? to ja muszę jegomościu przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*. I tej wielmożności *kauzyperdy* jegomościu winszuję — dodałem powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfudował do reszty pana budowniczego. — Płać dwa złote, płac! — wołał nań starosta.

— To więcej warto, odezwał się pan chorąży, bo ja w tem, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych — odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! rzekłem, poznawszy teraz *subjectum* pańskie, wola Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! krzyknęli wszyscy. Już kwita! Musi

po obiedzie zapłacić. — A starosta dodał — Mówilem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez ustanku; i poszliśmy z ks. kapelanem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

Requies tedy trwał aż do nieszpornej godziny, a potem pod *manudukcyą* kochanego chorążego poszedłem na kwestę po dworze. U babulek na podziw nam się udało; wprowadzie obdzieliłem je sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy prawić do każdej dykteryjki i przypominać różne intencye, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i korończyki a mnie do rąk kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak że spory mieszek się nappełnił, który chorąży talarzem bitym przypieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę — Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i nie zatrzymuję. Trzodkę twoją kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomii. *Vale, Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JW. panie, krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspańskiego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum*, (sentencya mi się dobrze przydała), a właśnie JW. pan i hojną dajesz jałmużnę, i laskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatem pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany; znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświżskiego: „Żyta beczek pięć, N. 5. Słodu jęczmiennego

na piwo beczek trzy, N. 3. i wołów karmnych dwa, N. 2, a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi kwestarzowi klasztoru Nieświżskiego.“

Chciałem biedz znowu do starosty a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

— Nie idź, *charissime!* — rzekł on. — To nie cud, że pan tak możny, jak starosta, jest hojnym i wspaniałym; powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tem przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspaniały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tem przekonać się mogłeś.

Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panią. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jej darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode za mąż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąt ciepły zapewnia! Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dóbr, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuzczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego mienia i możny z dóbr, powróciwszy z wojażu, przywiózł z sobą *kamerdynera* Francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachty, którzy u jego ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyliarzem nowej mody, oddawał się cichemu próżnowaniu lub skrytej rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju, przerwałem, być kaznodzieją.

Uśmiechnął się ksiądz Joachim, rad widzieć memu domysłowi. — No, rzekł, dość tego. Musisz, *charissime*, jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki

pozwolenia obdarzenia cię także. Niewinne i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował się i pan filozof, a nawet przybiegła i panienka, a za nią dziewczyna z węzelkiem.

— Mama, mówił ten aniołek, ofiaruje ks. kwestarzowi do kościoła Nieświżskiego całe ubranie na mszę świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk, i proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tę samą intencją ofiaruję wiele mam — rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż lzy mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A wtem Francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka złotych i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać judaszową, krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę i jakby mi kto podszeptał, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos et dona ferentes.*

— *Kes? kes? kes?* — zaszwargotał on, obracając się do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie — rzekł ten śmiejąc się.

— A więc wytłómacz mu, *reverendissime*, naprzód moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie, a potem powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

Boję się darów, z ręki nieczystej!

Francuz na to, uśmiechając się znowu, okazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłómaczył *peryodami*, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka, której pocziwy chrześcijanin dotykać się nie powinien, aby się bezbożnością jak krostą nie zaraził.

Wytłómaczywszy mu moją *allokucję verbum de verbo* ks. Joachim — brawo! — rzekł i uściśnął mnie w jego oczach. Francuz się uśmiechnął wprawdzie, jednak poczer-

wieniał i wyszedł do drugiego pokoju, dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uściśnąłem i pożegnałem ks. kapelana, i wszystkich a wszystkich, których napotkałem mieszkańców tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich, i uraczywszy się nie tylko wybornem śniadaniem, ale i trojniaczkiem wysmienitym, po kordialnem pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzelek starościnej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

— No, jedźmy, Marcinie! — rzekłem, ujrzawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze głódziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wytlómaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko i znalazłem piękny aparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! rzekłem, czy i to jeszcze tobie za mało?

— A cóż to do jegomości należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, chwała Bogu, nie uboga, a *dyspensa*, jak baranów nie zbierzem, będzie pusta.

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia.

— No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana *dyspozytora*, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie.

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki — odpowiedział on. I dziesięciu jeszcze nie mamy — rzekłem.

— Ja mówiłem, że jegomość napruszył się, bo i lik stracił. Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszymi, a zboże i woły jutro do Nieświża wyprawię. Pan Marcin przypomniał mnie o waszych zapasach podróжных, napeliłem więc puzderko i krobę, a to, księżu kwestarzu, przyjm za jałmużnę odemnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana, oddałem aparata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbożem i nakoniec wyjechałem z tego rajy ziemskiego, żałując, żem zeń węza kusiciela nie wypędził.



CASUS FATALIS.



uż ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nie do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziłem się moją włóczęgą.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę: bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: *Boże dopomóż!* to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: *Na zdrowie jegomościu!* Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kościoł; natenczas radzi oni z tego bardzo i my radzi; częstujemy się co Bóg dał nawzajem; a że z łaski ruchliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególnie puzderko zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A zatem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczerza i życzliwa. Czasami staniemy i przy dwornem polu, to już tam pan ekonom rej wodzi. Chłopki na ten czas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomy po większej części staruszkowie, a przynajmniej podżyli,

nie jednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec postrzęgłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otóż tak wlekąc się zawczora spokojnie i powoli wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę, zwłaszcza, że słońce dopiekało, roztassowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derbach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknał bodaj zanadto z flaszki i zdawszy wartę na Pamfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczulce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę...

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów krzyknąłem — Marcinie! a ty śpiochu przekłety! gdzie barany?

Porwał się Marcin i oglądając się na wszystkie strony — Pamfil! krzyknął, Pamfil! a ty śpiochu przekłety? gdzie barany?

Pamfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliasza i Barabasa odezwali się do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzelśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płócienniej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w rękę; komenderował on kilku chłopakami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do blizkiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! wrzasnął ujrzawszy

mnie ten jegomość. A to ty popie przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę widzi jegomość; toż samo uczynił i mój stary furman i mój stary pies i nie pilnowali baranów.

— Piękna *komparacya*! — pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzić owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy przewodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim conceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zajechał ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu. Eliasza i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie *bukisz*, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym *prewodyrom*. *Pamfil* wył i ujadął, barany beczeli, my krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencyi, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbójników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię oplażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Eliasza i Barabasz z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to wołaż Pana Boga! Ten mnie nagrodzi, rzekłem, podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę nazad po moich dobrodziejach, opowiem im moją krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie zaprzęgaj i zawracaj.

A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywda każda o pomstę Boga woła i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potem odpędzać własnymi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie... *Bo Bóg widzi — Czas ucieka — Śmierć goni — a wieczność czeka.*

— Cóż to proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

— A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już jegomość pokój i bądź zdrow. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek i powlecziemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

— Marcin podniósł fłaszczkę. — Do ciebie — rzekłem nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda. Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciółom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrał w wodę.

A wtem ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za nimi postrzegłem imość, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek — Pogodzimy się, księżu kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! odezwała się seryo nadchodząca pani.



— A czemuż waszeć do mnie nie przypijesz? proszę uniżenie.
Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiem o wszystkim. Proszę darować tę mitręgę, księżu kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wie co robi. Cobys miał zaprosić i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Bo widzisz, moje serce, szkoda znaczna i chłopcy, proszę uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodziejce także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz.

— Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie*, jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał jegomości, że co gospodarz narobił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się, milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana!

— Jeżeli jegomość dobrodziej nie masz rankoru, to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu...

— A milcz waspan! już mówiłam, milcz! ot wolej pomóż księdzu kwestarzowi przeprowadzić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony.

— Widzisz, moje serce... ekonom, proszę uniżenie...

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkim.

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja? — zapytała imość, a jegomostek, stojąc za nią z tyłu, kłaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodziejce za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na *prewodyra*, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed Porcynkułą wracać do klasztoru i sukurs na fest przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dalibóg wypowiadam się we środę.

— Da milez waspan! — Odeszli.

Patrząc za nimi i pokręcając głową — *Hic mulier!* — rzekłem.

A Marcin obok mnie kręcąc także głową — *Szwed baba!* — rzekł.

Wyłómaczył więc regularnie moją łacinę i ruszyliśmy dalej.



XX.

U KSIĘDZA PLEBANA.



rzebyłem już napowrót *Niemen*, zawracając się ku Nieświżowi. (*Tu kart kilka wydartych, a potem jak następuje...*) Przed plebanią na ławeczce pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban cieńkusu, do jakiego ani ja w klasztorze ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak bo nie było lepszego, a upał choć pod zachód słońca, dokuczał jeszcze.

— Jesteś bez wątpienia, rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczęłą w plebanii rozmowę i napominki, których pleban, staruszek cierpliwy, w milczeniu słuchał dotąd, jesteś kapłan gorliwy i pobożny, służba Boża w kościółku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda*. Mógłbyś przytem pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka to wprawdzie maleńka, ale ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo pożał się Boże! Wstydz się! U mnie inaczej. Przyjedź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzimy po polach; obaczysz jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano i jak, chwała Bogu, rodzi. Nauczę cię i pieniądze

zbierać i lepsze piwo robić, bo tą lurą i gardło i humor skwasim.

Staruszek uchylił osiwiałą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem z cicha, powoli i nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

„Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie, ale sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu świętym! Przetoż tedy starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku zbudowaniu, społecznie strzeżmy“.

— A toż znowu co? rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem, a toż znowu co?

— *Słowa św. Pawła do Rzymian, reverendissime!* — odpowiedział staruszek.

— Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwkim?

— „Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej“ *ibidem reverendissime*“.

— Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chybaby kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyj.

— Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju, odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że *periferya* księdza kanonika dwa razy większa od mojej. Bodaj pasek mój nie zejdzie się na jegomościa.

— Pleciesz, rzekł ksiądz prałat. A waść, księżulu, nie w czas wyjechałeś z świętym Pawłem, bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

— Pięknie, gdybym ja, mając porządne *beneficium*, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— „Są różnice darów, lecz tenże sam duch być ma!“ mówi święty Paweł do Koryntyan, *reverendissime*.

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja po prostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich

domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak, że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę, odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem, a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiwku, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego.

„Aż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wierze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?“ *Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym.*

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowo, dotknęły prałata. Skąsił usta, zmarszczył brew i rzekł:

— Prawda to, ojcze, prawda! Umiesz Ojców Kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świętobliwem życiem; lecz też pamiętać należy, że mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów Kościoła, powinniśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biednych w ogólności a wolno też pomyśleć i w szczególności o potrzebujących, częstokroć powinowatych naszych krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

— „Bez ojca, bez matki, bez rodu; nie mają ani początku dni, ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!“ *Tak pisze święty Paweł!*

— Róbże sobie jak chcesz, rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime!* rzekł ksiądz pleban. Nie miałem zamiaru ubliżać wyższemu odemnie w Kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime,*

nie obroniłyby mnie. „Nie spieraj się słowy, bo się to na nic nie przygodzi, jedno na skazę słuchających, a świeckich rzeczy i próżnomowności strzeż się!“ *nauczał także święty Paweł*. Wolałem więc nieudolność moją wesprzeć tem, na czem i codziennie moje życie, i niedostatki, i kłopoty opieram; to jest słowami, które codzien czytając, rozważając i przepisując, wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księżu prałacie dobrodziej, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. „A owoc ducha (jako powiada *Paweł święty*) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobroć, cichość, wiara, mierność, sprawiedliwość, czystość“.

— Nie przeto, abym te wszystkie dary i cnoty posiadał; uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdym zastanowieniu zawracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którem idę bez namysłu, i nigdy nie zbłądziłem; dla tego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dóbr i zbieranie pieniędzy. „Obyczaje twoje niech będą bez łakomstwa, przedstawiaj na tem, co teraz jest. Boć sam powiedział: nie zaniedbam cię ani cię opuszczę“. *Słowa świętego Pawła, reverendissime*.

Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubogiego tego domku Bożego i w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czem codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przeszłość oddaję woli i opiece Boskiej, bo: „Nie waszać rzecz, nie waszać, znać czasy i chwile, które ojciec w swej władzy położył“ *powiedział* Chrystus.

A jednak Boże uchowaj, abym sądził innych podług siebie i mniemał, że jestem doskonalszy od braci moich. „*Każdy*

z nas za się zda liczbę Bogu“ — mówi święty Paweł. Gotując się więc do tego ciężkiego rachunku, na który przyjsć wkrótce mi wypadnie, do miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się.

Zatem przebacz mi, *reverendissime*, jeżeli cię nie chcąc obraził — i tu chciał starszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban milczał i ja także, rozważając świątobliwość i pokorę jego. A w tem zadzwoniono na nieszpór.



POWRÓT.



uż nam zdaleka orzeł Radziwiłłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie — Wiele jegomość zebrałeś gotówki?

— Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestarza biorę po talarze, niby na buty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolację ze stajennymi zamkowymi, moimi wielkimi przyjaciółmi. Na buty zbiorę, przyprawiając tabakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret nieboszczyka księdza Rafała, trzeciego kwestarza przed jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi jak ja.

Dobyłem więc kieszę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy, rzekł on, postrzegłszy pieniądze; jest co i do karbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż jegomość sobie schowasz?

— Balamucisz! Jak ci do głowy przyjść mogło, że choć

grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dla tego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni, wozów i baranów.

— To tylko dla tego? Jegomoście bałamucisz, ale nie ja, odpowiedział z gniewem Marcin. To jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pastuchowi! Kląniam uniżenie! Weźże jegomość sobie nazad swego talara, i kwita z przyjaźnią!

To jegomość rozumiesz że byle jakiś furman, to i kwesta uda się? Przepraszam jegomościa. A ja mówię, że byle jaki kwestarz, aby tylko furman dobry i wiedział gdzie zawracać, to i kwesta pójdzie wymśnienie. A nawet gdyby puścić dropatego naprzód i dać jemu przewodyrów naszych, a Pamfila za stróża od wilków, to i tak bez kwestarzów i furmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałby baranów.

Onegdaj, pamiętasz jegomość, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcu kazał powiedzieć, że wyjechał. Prawda, że jegomość, postrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcu, że pokłoń się panu jak powróci, i powiedz, żeby drugi raz wyjeżdżając z domu, łysiny swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego stamtąd wyciągnął, ale jegomość wielki nadto polityk.

I wszędzie, gdzie ja zajeżdżać nie chciałem, skończyło się na z *Panem* Bogiem! a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u jegomościa? a że kroba i puzderko zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! ludzie! pożał się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsł z rożka tabakę i wzdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! rzekłem. Prawda, żeś ty stary ćwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bóg pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziem, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić.

Co do pieniędzy, któż jegomościu radzi schować?
Per modum... — Zamilkł Marcin, szukając grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść — dopomogłem mu.

— Nie... tego... ale... bo jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie: bo, prócz habitu, jegomościu, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a zato rachunku z nazbieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ks. Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do karbony bractwa różańcowego. Za toż codzien dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański*. Czy to źle?

Pod wieczór wjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztoru. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku; a uściskając po przyjacielsku.

I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chórem.

— Czekałem cię jak kania deszczu, rzekł ksiądz gwardyan; rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificencyi* starosty, przez ciebie wydane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak, jak nas cielesnym zasilł. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze

ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorzeniu gdzieś niegdzie wytykającym głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złośliwości...

— *Caetera ad coram*, przerwał mi ks. gwardyan, bracie Michale, a teraz idź wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ks. gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej poufalej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, rzekł on, i waści, bracie Michale, i dobrodziejom naszym. Ot co jest!

Cóż tam powiesz mi o swoich obserwacjach światowych, o których nadmienileś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moją poniewierkę dla Francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej nie potrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinienes.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej szlachty. — I to prawda, odpowiedział mi; do nich zaraza nie dochodzi i nie dojdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerszej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierają nań będą. Ot co

jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy; zaślepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrcy świata tego, jak owi trzej niegdyś ze wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skrucą uderzą mu czołem na nowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.



ROK 1812.



Ode powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! śpiewamy codzień w supplikacyi. Pierwszych dwóch plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień — co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już pierwej, i doznajemy teraz, ze wszystkimi jej okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeżywa to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętej naszej wiary. O Boże! Boże! czegoż doczekaliśmy? Widać blizkie skończenie świata!!!

Mieszkalem ja od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka, jakiej to miasto dawno nie

widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Alexander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencję.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku armat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów! a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów zagranicznych nacyj. Sam widziałem na tej rewii posła szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtem piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie; a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny: bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codziennie wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkim, co słyhać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranku, gdym był u księdza kustosa dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął: — Tatuleńku! już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? czy pewnie?

— A najpewniej! Wczora moje chłopcy, to jest akademicy, mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na

bal nawet, z doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem i niema sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum*? kiedy tu już *tempus praesens*. Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jej i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rossyanie mają się rejterować w głąb kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w Łyka. Każ dać wódki, tatuleńku, bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.

Napiliśmy się po raz. — Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugim *nic*. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... dlaczego? ot mówiłem jegomościu, *dla wszystkiego...* a kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciszej i jękając się — bo powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościoły odzierają!...

— Jak to być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejść, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*, Przyszedł, opierając się na kij, starszek ksiądz definitór, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też

i słuchają we wszystkim i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła, w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem i wtenczas naszą wspólną peregrynację po klasztorach opisałem akuracie w moich raptularzach; na starość obrał sobie rezydencję w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszym, które ja niewolą babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna*!... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codzień modłę się za jego duszę. Ale o tem potem.

Zebrany *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę i podał do *konkluzji* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: — *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjsć miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom i trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze! — zawołali i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Pułki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść o zbli-

żaniu się Francuzów coraz to głośniejszerzyła się. Do klasztoru naznoszono kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest 14 Junii, cesarz Aleksander opuścił miasto... kochany i błogosławiony od wszystkich... niech go Anioł-stróż ma w swojej opiece!

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarasowano, okienice od ulicy w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylazł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zavalone wojskiem i harmatami; a żołnierz zwyczajnie jak w rejteradzie, samem spojrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na zwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopówki, pod pałac Szoazelowski¹⁾, w którym mieszkał *generalissimus generał Barklay de Tolli*, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blisko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny? — zapytał on.

— A jużćie nie z tyłu armii, jeżeli nie na czele — odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armia rejteruje?

— Nie rozumiem — rzekł ks. kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii, i tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego pan *Barklay de Tolli* jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła

¹⁾ Dziś Pomarnackich.

wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmiali się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień 16/28 Junii, którego nigdy nie zapomnę... w którym ujrzałem razem z całym Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale pocynam od początku.



XXIII.



ó j ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety i tłómaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięstwach, o wielkich czynach i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkowałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz bywało, i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*, to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił on — nim go nie obaczę. Ot co jest! I zgał, jak prorok: obaczył go i umarł.

Wysyłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za furtę. Zdziwiła mnie cichość

i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem, stał złożywszy broń w kozły, pułk grenadyerski¹⁾, co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostrożnie. Liczniejsza ich kupka otaczała pułkownika, którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer i przejął mię pod Imbarami. — Dokąd, księżę? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopotany.

— Podwójnie kłamiesz, — odpowiedział on uśmiechając się — i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. — Mam rozkaz wybadać.

Ale przyszedłem już do siebie, i pomyślałem w duchu: skłamałem, ot i bieda! Mówmy prawdę... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju! — odpowiedziałem zatem — że jestem Bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa*, żem skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczerą ciekawość i nic więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć co się dzieje w mieście, wysłali mnie na zwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiesz, czem to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny: wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości. — Odchodził potem, lecz się zawrócił. — Czekaj księżę! — rzekł — masz oto ubogą moją ofiarę, — a dawał mi rubla — oddaj to na mszę na intencję ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziatki nie osierociła... — Westchnął głęboko pocziwiec...

¹⁾ Pawłowski.

— Dziś zaraz będzie msza na twoją intencję — rzekłem i przeżegnałem go serdecznie. — Dziękuję ci, bracie! — rzekł ścisnął za rękę, i wbiegł na plac; ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moją przygodę, oddałem ofiarę oficera i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za furkę.

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac biskupi, do którego po wyjeździe Cesarza przeniósł się pan *Barklay de Tolli*. Na dziedzińcu stała kareta ośmią końmi zaprzęzona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze feldmarszał? — zapytał.

— Jest — odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

— A więc to kareta pana *Barklay de Tolli*, — pomyślałem sobie. — Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczmy, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiej.

Po jednym, po jednym, zebrała się koło mnie kupka ciekawych i znalazł się między nimi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojej *ekwanimii* — rzekł on — tu jest przyzwoite *locum standi*: i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kurier. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo, plół; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słyhać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takż latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyłeciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku pla-

cowi. Ja i kilku ze mną bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku i marsz krokiem podwójnym na Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc do furty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów Święto-Jańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

— Ostatni pułk — rzekłem mu — wyruszył nagle na Niemenczyn.

— A zatem podług mojej *ekwanimii*... — Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony i okazał się na ganku pan feldmarszałek. za nim pan Ławiński, nasz były dotąd gubernator wileński, i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechnął się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie! — rzekł pan budowniczy — Bonaparte za górą, a on ani dba. — Obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na waletę miastu, dobył zegarka, spojrzął nań i siadł do karety; z nim pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodłanych tuż przy karecie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem na Antokol, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

— No, teraz, podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum* — rzekł budowniczy.

Jeszcze kareta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt*; w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy.

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie: — Most Zielony wysadzono na powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście. — Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harbat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugim i ogłuszyły wszystkich. —

Strzelają do miasta! — krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamieszanie powstało między tłuszcą! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli: — Gwałtu!

— Stójmy! — rzekł znowu do mnie pan budowniczy — to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*, strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjacieli blisko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się usatkwował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor i objawić ojcom to kilka-godzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za furte, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów i fratrów*.

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonice, w takiejże samej *sperandzie*; inni znowu biegli na Pohulanę, bo stamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze, jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niema, bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót niemają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodzącę, Przeczystą Maryę Pannę, która Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadome.

W takim gwarze i zmieszaniu przeszło godzin z parę. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi

gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza i pospólstwo hurmem uciekające przyjęło naszą partyę. — Kołą!... kołą!... — wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole? — pytałem. Nikt mi nie odpowiedział a tylko jedno a jedno: — Kołą!... — Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkimi uliczkami prowadzącemi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem ułani z dzidami naprzód, jak do boju (stąd przestрах w pospólstwie) i objęli odwacht.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem i wnet ze swoją tacją i kluczami, w asystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulanę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąć do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarską ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc: — *Wiwat Napoleon!* — a był to szwagier cesarza, król Neapolitański *Miurat*.¹⁾

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtem rozbiegła się o poludniu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę, podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiełem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najslawniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!...

¹⁾ Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to ks. kwestarza, wejście Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

Nad rzeką, po lewej stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata dobrego nie obstoi; ależ za to *caput* znakomite! a oko czarne, pełne i spojrzenie nie wiem jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokryta była płytami; więc je wkrótce linami spięto i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim Pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francusku *expedite* umie. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie explikował, jak nie lepiej Pijar po francusku. Łazłem też wcale naprzód — a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuradowego*!) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stał naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegnąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzeć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc, wrzeszcząc: — *Wiwat!* — a on kłaniał się poważnie lekkim skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.



XXIV.



Bracie Michale! — rzekł do mnie ojciec defnitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział — Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale spiesz się, spiesz się, bracie! — dodał — bo codzień słabieję... a nie umrę... — mruczał dalej jakby sam sobie starzec — nim go nie obaczę. — Przyrzekłem więc memu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do furty Święto-Jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamieszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszlśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, furtę odemknął i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare defnitory i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włączą się po ulicach sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy i gwarzą nowiny i cudactwa, jakim się przez cały dzień napatrzali.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzień wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote,

na ogromnych koniach, chłopcy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszymi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szerokimi berdyszami na ramionach, i z fartuchami skórzanymi, jak kowale; na koniec cały konny regiment dyabłów, Panie odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zawojach; u każdego kindżał za pasem, a krzywy jak duha pałasz przy boku. Powiadają, że to Mameluki od Czerwonego morza, w którym niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum*! Ulice pozawalane zdechłymi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za pułkami, i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie pułk stanął, jatki i kuchnia; więc stąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama*, rabują z krete sem; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwce niektórzy wpadali do kościółka Pana Jezusa księży Trynitarzów na Antokolu i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza i zdierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godziny sądeni, jak to dawniej powiadano, *krygzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi oczami na to nie patrzył.

Patrząc na to wszystko co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: — Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza. — Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku — odpowiedział *pater*, gdy mu tę trudność objawił — prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest! — Prowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy biskupiej.

— Jakże go poznam? *charissime!* — zapytał on.

— Oto tak *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników¹⁾, z których jeden tylko na przodzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabitą i podniesioną bronią; potem, na siwym lub myszaty koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem²⁾ bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową³⁾ na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzy-różnym *On*; potem generałów i różnych assystentów, całych we złocie i srebrze tłuszcza; na koniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi i tyłuż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. Tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przodzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy... Chwycił on mię za rękę...

¹⁾ Guides. N. w.

²⁾ Mundur pułkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły, na końcu wyłogów, ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytymi jako symbolem sławy. N. w.

³⁾ Wielka gwiazda orderu Legii honorowej. N. w.



Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie.

i trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem: — To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego *on* tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być tak potrzeba*. Ale gdy Bonaparte go mijał, *on* postąpił krok naprzód i *sprezentował broń*. Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi*, bo prawie oko w oko mógł nań się napiatrzyć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma *interes*? Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę*. Czytał *Bonaparte*; było we środku jeszcze kilka innych papierów i te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinał na jednego ze swoich generałów, ten się podbliżył; wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: — *Wiw-lamperer!* — a to znaczy: *wiwat cesarz!* jak mi ksiądz definitor wytłómaczył; i nauczyłem się tej ekklamacyi, bo codziennie o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego węsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, całował krzyż swój, a lzy często ocierał i śmiał się i ścisnął zgromadzonych około niego kamratów i nareszcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. — Ale *on* stał jak osłupiały, aż się przeląknem. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis, Domine! nunc dimittis...* — Idźmy — powtórzyłem. — Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętując się; ale ledwo nogami mógł sunąć i z pół godziny wlekliśmy się do klasztoru.

— Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle, patrzałem na tyłu ludzi!

na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

— Ależ ojcze! prosimy Boga — rzekłem — aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?... jak się zakończy?... — mówił dalej rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnie i kończyć się muszą... Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie... Ludzkość wre, kipi, topi się, musuje... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fusach... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucają... Tak przewarzona różnorodna masa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!

— Niewiele ja z tego zrozumieć, ojcze! rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, miesza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień... i chcąc czy nie chcąc, ulepia materyały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *digitus Dei hic est...* a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się płacze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.



TESTAMENT KS. DEFINITORA.



h! przyszedł наконец bolesny dla mnie moment gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak jak niektórzy, Boże im odpusć! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *doktory*, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owem naszym oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie: — Bracie Michale! codzień słabnieję i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot co jest! bieda mi z tobą! — rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a nawet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławie cię, synu mój! — rzekł on. — Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem zniesź mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróży, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza i za jego pozwoleniem rozdysponował swoją ruchomostkę, dając i w tem przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nieraz był prowincyałem i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem najmniej do klasztoru nie należała, wszelak i tem rozrządzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz, *reverendissime!* — rzekł ks. kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojem pozwoleniem, niech tak będzie.

— Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty — ozwał się ks. kustosz — a ziarna koronki ze słoniowej kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojczy!

— Prawda — odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykulę* drzewa Krzyża świętego. Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświżski



Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; pokłękaliśmy potem i zmówili: *Sub Tuum praesidium.*

na pamiątkę, żem był jego spowiednikiem lat sześć, za mego gwardyaństwa w Nieświżu.

— Panie kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę, — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbca na to, abyś został kardynałem, bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś Włoch kondemnatę jemu zarzucił.

— Ojcie! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *rotum* za zdrowie twoje, ojcie, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! księżę kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem, zapomniałeś może ojcie, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim.

— Nie! nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż ks. kustoszu?

Ksiądz kusztosz zarumienił się mocno... co postrzegłszy definitór — *Mea culpa!* — zawołał *mea culpa!* — zgrzeszyłem! daruj mi, ojcie! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? — Chciał starzec całować rękę kustosza, ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrwijąc rękę, sam upadł do nóg starca, i — Ojcie świętobliwy! — zawołał rzewnym głosem — mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; pokłękneliśmy potem i zmówili *Sub Tuum praesidium*.

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za assistencyę i mowę przy ślubie jego z Chodkiewiczówną. Zacny to i bogo-

bojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustosz!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime!* — oddaję ci go jako depozyt i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go sprzedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moją duszę. — Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc *bona fide*, należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacjach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztoru. Ot co jest! i po wszystkim.



ŚMIERĆ KS. DEFINITORA.



ieczorem zasłabł mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląknęłam.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior? — rzekł, widząc moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest.

— Ależ mój ojczy! kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniał.

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez chór.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przebudzenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni; lampa tylko na środku wi-

sząca migiała się bladem świećkiem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką i ucałował go, mnie dał do ucałowania i złożył na ołtarzu. — Dzięki tobie bracie! — rzekł potem do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuiestej. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania...

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklekali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświecała... Mrowie mię jakieś przebiegło... Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie zaszkodziło, powstałem, i biorąc go pod ręce, rzekłem: — Wstań, ojczel!...

O Boże! już on nie żył! Przerażony krzyknąłem.

Ks. kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uśpiona, a nie zamarła. Bo też usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdy w życiu nie płakał!!! Położyliśmy trupa na

ziemi, zakryliśmy go całunem i wszyscy znowu poklékli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę i dogorywająca lampa migała po całunie.



XXVII.



ylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuskie. Ledwo tylko kilka sexterników najpierwszych i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojedów. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórka obity, zamykany na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przylgnał do tej mojej pracy żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc stąd żadnej sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory, bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnymi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi. Jest to sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abys zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię stąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim ¹⁾ potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) nazywa tam ciebie. Oto masz i *obediencyę*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozzerwie cię; a doskonałość w tem twoja wespół tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tem, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztorowego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszków na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Niema nad czem i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnym brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdiesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcie! — odpowiedziałem. — Słusznie osądziłeś,

¹⁾ Bienica — miasteczko i klasztor księży Bernardynów w powiecie Osmiańskim.

że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcję ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuskiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziąłem tylko jednego dukata i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę* pocziwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora i jedną jego tabakierkę *per modum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziąłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie zostawił? ale nie mogłem jakoś z nimi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę i w Imię Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!



WĘDRÓWKA DO BIENICY.



cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się ze swoim wojskiem, które jak powódź płynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil wglęb kraju, spłądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech Francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemieże. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterma, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spojrzeli po sobie, i znowu do mnie po francusku.

Odpowiadam na los szczęścia: — *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum, Bienitiam proficiscor.*

— Bon, bon, se bon — odezwali się; a potem bez ceremonii, dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązało mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniędzy tu niema — i podałem kluczyk.

Bon, bon, se bon — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli. przebrali papiery, a nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielőcinki. to jest tłómoki swoje wojenne i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie: — *Non possum, senex et debilis sum!* — A oni swoje: — Bon, bon, se bon! Maszyr kamrat, maszyr! — I przy tej perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem*, to jest bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielőcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co miła luzowali na moim grzbiecie swoje tłómoki, aby każdy z nich równą miał ulgę i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś Judasze dopadli staruszeki. Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: — Maszyr kamrat!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją, a jak poczną czchać to ja krzyczę; — *Vivat!* — a oni w śmiech i — bon kamrat! — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielőcinek nie zdejmują.

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania,

bez okien, kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę piał, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel, pal* i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś brnęło na ulicę; i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ależ też oni i skrzynkę moją odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł. — Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiśniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się wrzeszcząc: — Kleba! kleba!

— A skąd ja wezmę? — krzyknąłem wzajemnie. — *Niema kleba!*

— *Niema kleba!* — powtórzyli żałośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał: — *Niema kleba!* — Aha, *niema kleba!* — odpowiedziałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym postrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewna podkłada, aby się

lepiej paliły! Wyrwałem mu ten, który w rękę trzymał i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzył mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareszcie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spojrzał on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrużąc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ścisnąć, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu. — Bon, bon, se bon! Vivat kamrat! — wrzeszczeli. — Ha! — pomyślałem sobie — ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali sup, znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszym miejscu i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościesz*a, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, postrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłomoki, a moją pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem że ma ją przywłaszczyć i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moją wątpliwość obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić.



...wpadłem między nich. Stanęli zadziwieni... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

A więc także ścisnąłem go za rękę i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszem zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy... Spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i rozśmiali się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów. — Bon! bon kamrat! — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z blizkim sąsiadem od Bienicy, panem Szczepanowskim pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.



NIEBOSZCZYK KOCIEŁŁ.



an pisarz, wielki *gadatīvus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencji? — zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było ¹⁾. Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kociellów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Mołodecznie*, bo i *Mołodeczno quondam* do Kociellów należało i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia

¹⁾ Podanie. — N. w.

Ogińskich. Przełęcznione czegoś tam na drodze konie jego uniosły; wzięły na kiel i leciały jak szalone, cugle pękły, stan-gret spadł z kóz, a pan *Kociell*, bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszyła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*. Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociell wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumanę*, modlitewkę swoją, ponowił *votum* i we dwa lata na tem samem miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tem, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował, i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć, aż gdy wkrótce pan Kociell oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że sumy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracie*; lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytymi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił i dla tego w grobie własnym one zakopał i świętokradzkim lub chciwym ręką nie da.

Otóż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na

klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świątobliwy i przykładowy kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej płyty marmurowej, pokrywającej grób pana Kociella.

Że nie chciano publikacyi tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach i w zamkniętym kościele, a kilku *patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie wszystkim po skórze przechodziło i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłumacząc, że pieniądze te pójda właśnie podług woli pana Kociella i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drągi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan, chcąc zajrzeć w głąb...

Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kociell nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał i miał rację, bo klasztor, to nie kościół mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez *requiescat in pace!*

Otóż jak przyjdiesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swoim miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz postrzeżono i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnymi oczami obejrzałem.



PRZED KWESTĄ.

I komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwestarza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? i czy już po śniadaniu? Po czem nie czekając ani twierdzącej, ani odmownej odpowiedzi, (bo też na to zimne pytanie porywa jakaś taka złość człowieka, że nawet po gwardyańskim śniadaniu gotówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka taka przekąska*), rozkazują służącemu przynieść wódeczki dla *jegomości dobrodzieja*, dają naprędce znak ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokolwiek pół żywego barana i zostawują cię przy stoliku nad darem Bożym, nie pytając się już o nic więcej. Tym świeckim ludziom zdaje się niemal, że kwestarz Bernardyn musiał się urodzić Bernardynem. I jak, pytam, po takiej czułości ze strony ludzi, zakonnik nie ma nabrać wstrętu do świata i nie zamiłować swojego konwentu?“ ¹⁾). Tak mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik, kwestarz w tejże Bienicy, a który, zniechęcony tą *recepcją* ludzką, nie chciał już

¹⁾ Of. d. c.

więcej kontynować swej peregrynacji i przyjął kanaparstwo po zmarłym bracie. Dlatego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nie raz bywam tak przyjęty; i tem bardziej mnie to martwi, że przypominam sobie czasy, gdy wcale inaczej było; gdy wyprawując mię raz pierwszy na kwestę nieboszczyk ks. *Ot co jest*, upewniał mię, „że jest jakaś powszechna domowa skłonność dla Bernardynów: że pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym baranem oczekują jak bocianów na wiosnę; i przepowiadał, że źle będzie na świecie, gdy cnoty te wygasać będą; gdy szczerość, prostota i pokora nie będą już trafiały do serca: bo wtenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii rozszerzy się, jak plaga egipska między narodem“¹⁾).

Otóż i zgadł. Patrzył on nawet na to zgorszenie, martwił się, *fulminował* z ambony i przypominał mi swoje proroctwo. A jednakowoż przed śmiercią nie raz mi powiadał: „Nie bójcie się, kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg, nie opuści sług swoich i nie poda na poniewierkę niebożnym swojej świętej nauki!“ Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czempredzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawzięł ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej: bo to mało na tem, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której trzy dni człowiek kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec pocziwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nie raz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zabobon*. W piekło jego-ność nie wierzy, czyśca nie lubi, na niebo nie zasługuje i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę,

¹⁾ Patrz wyżej, wyjazd na kwestę.

to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz, nie sto razy uszy mi wiedły, słuchając takich bredni; a zawsze wołałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach i jak mi udało się nie raz i nie jednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego Francuza u starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuzką zupą w Miednikach.

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś profesorem *Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno i mówił szybko, cienko, jakby lekcyce re-
cytując:

— *Salve* bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo*. Jedź, bierz, co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź!

— A na czymże pojadę, kiedy wszystkie pozabierali?

— Zostawili jednego swego harharę. Osedniony i chudy, ale pod konno dobrze chodzi. Smaruj go łożem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

— *Impedimentum* — przerwał mi staruszek — *est generis neutrius*. *Gravis, grava, gravum, vel grave*, dobrze zgodzileś. *Latine scis, bene et valde bene*: bo teraz łaciny

nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest, bracie! bratunieczku! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki moje, pilnując *notalingwy*, lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki marszałek lub podkomorzy. A co do zgodzenia *generis masculini cum foeminini...*

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie. — *Impedimentum grave* jest w tem, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów, lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

— Manowcami, bracie! bratuniu! bratunieczku! lasami, błotami, jedź, dojeżdżaj, gdzie można... *Prewodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego, Ratuj! jedź!

Widziałem, że nie pocznę z moim głodnym gwardyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kałamaszkę i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! — wołał na mnie z okna pocziwy profesor *Infimy*.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoją, *reverendissime*, na drogę.

— *Adde: reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem profesorem *Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuje, benedykuje*, ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

— Przynajmniejże daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie

kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy.

A skądże wziąć innego? Ten co był i woził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywłókł się tu nie wiem skąd i ufundował się w klasztorze. jak mówił, przy ołtarzu do śmierci. — Bóg tam z nim — pomyślałem sobie — *restat*: bo prócz tego, od razu pojął się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało się mu jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem: — *Nego*. Bo kiedym był profesorem *Infimy*...

— Ależ *reverendissime*! czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otóż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tem, że on *semi-socyusz*, *semi-woźnica*, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy: — *Concedo* — I dobrze się powodziło; bo ten *peregrynant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swoim życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem profesorem *Infimy* w *Cytowianach*, to geografię na klasę pierwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w której części świata on bywał i wojował.

Otóż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszków; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semi-quaestarius* chwycił w rękę karabin i pomaszerował z nimi szczęśliwie.

Ad felix videndum! bracie! bratuniu! bratunieczku! rzekłem i po wszystkiemu. Bez niego ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale sprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi*; bo kiedy byłem profesorem *Infimy*

w Cytowianach to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki *szarf!*... razu jednego...

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! vale! Ad felix videndum* — i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź jedź! bratuniu! bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję*.



K W E S T A.



an Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swemi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosa! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wicher i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych. Bądź wola twoja Panie.

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca profesora *Infimy* w Cytowianach była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkance powracali do domów i krzatali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i oziębło mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici o niczem nie myślą i nie mówią, jak o tem, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga*. Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytku lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencję* ofiarował mi asygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; nie jedna mamunia zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła

rubelka, *na intencję*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętej *filozofii* na mszę nie dawał. Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tem samem miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześcijańskie najozdobniej kwitnęły — jako o tem niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi i kilka baranów wlekło się za prewodyrem, gdy m zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypominałem wnet; dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmieralo; że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdy m wjeżdżał na dziedziniec... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych, czy pocziwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowjach wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis* — przeciw srogiej libitynie *nie masz rady w medycynie!* Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcu poszukać stajni i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju i znalazłem siedzących za stołem kilka panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem

Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A to co za pop? — razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.
Znowu powtórzyłem: *Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu — Skąd cię tu lichy przyniosło?

— A — pomyślałem sobie, — pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz — rzekłem nakoniec. — Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi.

— Zresztą, na wieki wieków — odezwał się jeden z nich — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronionem dla pocziwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Alboż tu był kiedy?

Byłem i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się, bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! książę! — rzekł, powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym. Jam jest syn starosty... i gospodarz tego domu...

— Tak, tak — dodał jakiś podpiły sampan — to nasz pułkownik, hrabia... Czołem, popie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem, — bo trzymasz kielich pełny, a sam już się tego, jak widzę, zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoją szklanekę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzałem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i dyabła, to jest księdza kapelana i Francuza. Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzył na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich..

— Tak — rzekł potem — tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i pocziwy człowiek. Umarł...

— Przecież za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu — serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz...

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

Dobrodzieju! — rzekłem — gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dla czego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie. — Kaprysisz się, księżę! — rzekł. — Co było, to było... przeszło... a dukaty zawsze jednostajne...

Wtem wszedł lokaj i zawołał: — Wieczera!

— Proszę — rzekł starościc — do kompanii i ciebie, księżę! Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwudziestą z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z którymi wówczas zasiadałem; stały mi w oczach.... i oczy zaszyły mi łzami. Nie jadłem, bo

i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyi nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić: Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi, gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu. — A wspomóżże mię, Panie, — pomyśliłem — skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza odpowiedziałem który nie broń, ale szklankę ma w rękę, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spojrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostrożnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księżę! rzekł staroście, czy pułkownik, jak go nazywano. — Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dlaczego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do mundurowu przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się, w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się sampana, — siedź i pij. Nie umiesz teologii i dlatego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza, na tem grunt.

— Dowiedz mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę, albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii niema.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju! — rzekłem do starościca — dziś nam wszystkim nie do dysput, a tem bardziej w takiej ważnej materji. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzylbym porzucić służbę Bachusa, bo to bożek

pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra masz zakład — rzekł starość.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź, bo pierwszą nastęczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszedszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światelko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się więc zawróciłem.



STARY MARSZAŁEK DWORU I STARY REZYDENT.



ave Maria gratia... - posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: *Sancta Maria Mater Dei...*

Ah! pomyślałem sobie — tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina ze srebrną galką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus* — odezwał się staruszek biały. — Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się — mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa, — że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam* — odpowiedział, pokręcając siwego wąsa. — Radbym wiedzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaje, przypominam — odezwał się on. *Anno milesimo septingentesimo...* był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk starosta co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i Francuza skonfundował gracko...

— Ten sam — przerwałem — ten sam — i obaj starce rzucili się mi na szyję i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie. aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiej klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go pułkownikiem nazywają i hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszyły starosta tak się nie *magnifikował*.

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek: — W pałacu *Sodoma i Gomora*.

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale skądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach oplakanych. Siadaj, *charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojej tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie, bodaj z piekła nie wyszli, wywieźli panicza i panienkę na edukację do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich błogosławiliśmy ich z płaczem i oczekiwaliśmy potem powrotu paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babilońskiej; aż tu nam po długiem oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła za męża, a pan staroście pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłem

pobożnem, slicznem panięciem. a przyjechał. Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego pana i benefaktora.. Już to on, widać. pod taką konstelacją urodził się.

— A u wasana wszystko *konstellacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* w głowie przerwał chorąży i zwrócił do innego obiektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o starościcu.

A jużci też pewniejsze moje *aspekta* — odpowiedział z gniewem marszałek — niż waspana *Apokalipsy*. Teraźniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wózek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biedę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem czy nie prawda? czy niema wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń i pokazywałeś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą..

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w robobie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon, w którą stronę...

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie i zcicha mi powiadał: — Ma... ma...

Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie: — Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.

— Winszuję — przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się — mówił także obrażony chorąży — wolno śmiać się, ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Appolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież — przerwał marszałek — *litera nocet, litera docet*.

— I uważ jegomość — mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi, — jak tu wszystko kwadruje się:

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). „*I oto okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dano mu koronę i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył.*“¹⁾ Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda — rzekłem — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami, — o to, to, to, widzisz waspan, z Egiptu, z pod Babilonii, „*i dano mu koronę i wyszedł zwyciężając.*“ Jak nie wstyd nie wierzyć?

— A w drugim miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały (znowu koń biały, widzisz waspan) a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy.*“ Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda — odezwałem się — sam to widziałem także i doświadczyłem, czarne, a świecą jak karbunkuly.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! Niechże cię bestya o siedmiu głowach polknie!

— Dalej tak stoi: „*A na głowie jego wiele koron, a obleczony był szatą krwią zmoczoną.*“ Chybaż waspana jaka gwiazda oślepiła! To już jak łopatą w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego Apoliona. Oto szarańcza: *a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym na wojnę, a twarze ich jako twarze człowieka a miały pancerze, jako pancerze żelazne, a ogony podobne niedźwiadkom.*“ Albo znowu: „*I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!*“ Cóż tu mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy, chmurami idą i niszczą wszystko; a sami widzie-

¹⁾ Apocalipsis Rozdział IV.

liśmy, jak onegdaj przejeżdżał do naszego pana *ad praesens* pułkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym i z włosistym ogonem na głowie...

— I pewnie z twarzą człowieczą — przerwał znowu marszałek. W tem tylko sęk, że jakieś wasan wczora czytał, tej szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy, ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi.

— No to cóż? no to cóż? — odpowiedział zakłopotany nieco chorąży — kosi, ale wszystko odrasta i trawa i żyto. Sądźże sam, księżę kwestarzu, czy to nie widocznie? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą. Niema z nim biedy. Ale co będzie kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog*¹⁾ nadejdą...

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek. — To mi głowa do tłómaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tem się sprawię -- rzekł, biegnąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił z cicha: — Ma... ma... tu... ma!...

— Obu wam biednym klepki nie dostaje — pomyśliłem.

Otóż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru i powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem:

¹⁾ Ibidem Apokalipsis.

— Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spojrzeni oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

— Na którejże tajemnicy przestaliśmy, panie chorąży? — zapytał marszałek.

— Na ósmem *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

— *Ave Maria gratia plena...* — rozpoczął zatem nabożnie marszałek — *Sancta Maria Mater Dei...* odpowiedzieliśmy i dokończyliśmy koronki, po której posłałem się na tapczaniku i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układał, spojrzał przez okno na komętę, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.



S N Y.



budziłem się. Moi gospodarze wstali raniej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie po cichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

— Imaniguj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlekl. Głowa rychtyk jak w *Janinie* ¹⁾ wymalowana. *Horret animus!* na ten sam widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie: — Za-pa-dasz! zapadasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę — zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem, bo płótno pękło do reszty i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, skąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe.

— *Extraordynaryjna rzecz!* panie Sebastyanie! *extraordynaryjna rzecz!* — odpowiedział rezydent; a tem bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie waspan, śni mi się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu

¹⁾ Janina — opisanie wyprawy Jana III. pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim. — Nota Autora.



Imaginuj sobie wasan — mówił marszałek — śniłem dziś, że
kometa do mnie przemówił.

głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsa się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nie nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się *bestya*?

— Sen mara — rzekłem powstając — a dzień dobry dobrodziejom.

Nie wspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie i — na co woła? — zapytali — na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odpowiedziałem — można jedno drugim zapić.

— Wyśmienicie! Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jęgomość — mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis*. Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej; więc pan Sebastyan większej odemnie *substancyi*, kupuje sobie kawę, a ja *cerevisiam* pijam.

Po śniadaniu takowem podwójnem, wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuska — rzekłem.

— Nie. My sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty.

Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty.¹⁾

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bobym tego nie przeżył!

— I ja także — dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił dalej marszałek, do towarzystwa

¹⁾ Dawne wierszyki z przestrogą młodym mawiane. N. w.

Wenery, Bachusa i Faraona, przybył Mars. Nie wiem, czy on nam pomoże, chyba że panicz nasz miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał Lwa...

— A dajże wasan temu pokój! — przerwał niecierpliwie chorąży — dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „*smok wielki rydzy, porrze dziecko niewiasty*¹⁾, *natenczas upadną wszyscy mocarze i bogacze tego świata*.” Więc i upadają bogacze, a między nimi i starościc. Bo mogę dowieść jak na dłoni, że *smok rydzy* znaczy...

— A niech cię kaduk porwie z twoim *smokiem rydzym*! — wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

— Niech ciebie porwie z twymi *horoskopami* — wrzasnął wzajemnie rezydent — bo to, prawdę mówiąc, *magią* pachnie.

— Dajcie pokójdobrodziejtemu wszystkiemu — rzekłem. — Ot wolej dowiedźcie mi i pokażcie, czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie! — odpowiedział marszałek — obaj my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyanami tej świątyni Pańskiej i z ostatniego ważym na jej utrzymanie. Co niedziela moich parę kuców posyłam po księdza i mamy mszę świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilka starych sług, którzy nam dotrzymują w tem życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas i razem chwalimy Boga, a modlim się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak — dodał kolega — póki żyjem z kochanym marszałkiem nie damy upaść temu Domowi Bożemu.

— Jaka przykładna jedność około chwały Bożej — rzekłem — a w innych materyach...

— Cóż robić? — przerwał marszałek — Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy... a drudzy — mówił, patrząc z ukosa na rezydenta — a drudzy, *Boże odpuść!!!*

— O to, to, to, to, to — przerwał znowu rezydent — jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy — rzucając także z ukosa okiem na marszałka — a drudzy... *Jezu mój Panie!!!*

¹⁾ Ibidem Apocalipsis.

Obejrzelismy kościółek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu i z bursztynem. którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

— Dzień dobry! — zawołał on, postrzegłszy mnie. — A chodź-no tu, księżę kwestarzu!

Poszedłem do ganku, oddałem pokłon i postrzegłem, że staroście blade, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o niego przejęła. Stał mi on na pamięć w maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dla czegoż biedny został wcześniej sierotą? Słowem, sam nie wiem dla czego zapytałem: Czy nie chory JW. pan?

— Dla czego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, do-brodzieju.

— W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. — Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszdyła jakieś, mary... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakimś morzu. Łódź pękła — potonałem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w kryształach, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach: pograżałem się i wybijałem na wierzch; chwytalem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca, i niknąc znowu z odbiegają-

cymi wałami, na chwilę wolnie oddychać mi dozwalało... Ocknąłem się наконец; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to jawa?) głowa mi paliła, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głucho, mrówiem mię przejmujące... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać, co się działo... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało, i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi; a przy dwóch mnie najbliższych, poznałem ojca i matkę moją. Chciałem biedz ku nim, ale, jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągałem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między nimi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególnie rodziców moich, ogniem paliły... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takim martwym otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

— Dziwny sen panie! — rzekłem, sam nad nim rozmyślając — dziwny sen!... Któż wie, czy nie nauka?

Starościc stał zadumany.

— A nauka — odezwał się wczorajszy kropiący jegoś — nauka, że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczora po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącym, a węgrzyn rzucał się na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się starościc.

— Tak — rzekłem — a nawet sen mój ma niejaką *konjunkcye* z pańskim.

— Mów — odezwali się wszyscy. — Słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem, nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A skąd ta pewnoś, popie — przerwał tłómacz snów, — że my tam będziemy.

— *Qualis vita, et mors ita*. Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępienicy w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie! Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż postrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a Francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcję pieczurnika spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. staroście. — Ach dobrodzieju! — rzekłem — *ex inferno nulla redemptio!* Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie?

— Za syna mego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i ostróg pocziwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moją i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły...

— Łziesz! księżę! — przerwał mi pułkownik, rzucając fajkę, — kłamiesz niedorzecznie! Ojciec mój tak pocziwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak! w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!...

— Żeś wygrał zakład — przerwał uspakajając się staroście i uśmiechając się. — Chętnie ci zapłacę przegraną.

— Brawo kwestarz! — zawołali towarzysze — brawo!

— Ale to mało na tem, dobrodzieje! Także kto ma duszę a duszę dobrą i pocziwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydłat nie biore.

Spojrzeni po sobie wszyscy, rozśmiali się i każdy do kieski. Staroście dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli i tak odrazu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi: — Bracie kwestarzu! nie zapomnę twej tu bytności... z wielu przyczyn i względów... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie... Wszystko się jeszcze odmienić i... poprawić może... Bóg nam natenczas inne sny.. pomyślniejsze zapewne zesłać raczy...

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i spiesźnie odszedł.

Pożegnałem potem pocziwych, a po części zdzieciniałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornej gorzałki, a rezydent ze swej partykularnej spiżarni szczupaka wędzonego na zakąski i ruszyłem, zwracając się ku domowi.



ŁOSTAJE¹⁾

Łakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experiencyą*, że nosy marderów na tabakę se bon! ale kruszczu pod nią zwietrzyć nie mogą; i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu profesorowi *Infimy*.

Jużem się pod *Krewo* podbierał i wjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między którymi i samo *Krewo* sytuowane, gdy postrzegłem po wzgórzach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

— Już blisko Bienica, — rzekł Jaś wiozący mnie — tylko półtóry mili. To *Łostaje*.

— A cóż to za *Łostaje*?

— Tu na *Łostajach* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana

¹⁾ Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskim, zamieszkaney przez Tatarów.

rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego*, tamten przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy, majora *Amuraka Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha! — pomyśliłem sobie — więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami i — stój! zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg! — zacząłem z nałogu dokończyłem postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam, uniżenie! odpowiedział uśmiechając się. — A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Spieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stroinach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie: *fora ze dwora!* A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witołdówki*, a zobaczysz, że koldun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Hora canonica zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na lichu, lubię kolduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda żrebięcinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górę pięćdziesiąt mieć mogący, łyśy jest, ale wąs ma zawieszisty i nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż głowę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka,

wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej *Ajeszko!* zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stopila się nieco, postrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka — rzekł pan major. — Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* A zatem my winu dajem *kwit*, a *wódeczkę* i *luleczkę* ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klauszura*, a po naszemu *haremu*.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się, my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą trudno często dojść do ładu, cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nie więcej; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zedle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tym zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, na koniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witoldowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostaj* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem*, naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny* ¹⁾ Służył mu potem *Bielak*

¹⁾ Podanie.

w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, przed laty czterysta, a może i więcej, plemię tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze pocziwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi ani łuku żaden Bielak za miliony nie odda; a choć który zholeje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzeciego Tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z *Łostaj*; i żadna Tatarka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhoworze, pan major dostał flaszkę z policy i — do wasana — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy, rzekł: — *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

Tacto pectore! a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, różgi nie widziałem, ale przysłówów pocziwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział Tatar litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę Mahometa przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kolduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła i popiliśmy dla *konkokeyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; pan major jakby tego nie widział: potem i jemu samemu; a po takim bankiecie, nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jako? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjeśliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się наконец pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu; w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał; z fuzyją, z siekierką, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, postrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygradzoną ulicę i pominą moją zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

— Wzajemnie zakomenderowałem: - *Dubeltówki z ramienia!* — i maszerowałem ku nim.

— *Russ?* — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— *Tatar!* — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temlakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim! Razem gwiznąłem przerażliwie i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się i batalia wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozdzielali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięsko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciałem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju - rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Skądże ta Bernardynowi *sympatya* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kolka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesyja po ojcu generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w rękę nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdymnt nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat* — takie pałasze nosim przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?



Prawda — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdymment nasz.

Patrzyłem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły,
i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawo i ogniste serce — to *klina*!
Szlachecka mowa i głowa — to *furdymant*.

Wtem *Molna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na
modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum*!



ELŻUTKA.



zło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zanego muzułmana. — Półtory mili przebędę łatwo — myślałem sobie — jedna tylko ciężka będzie rappa, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam se bon kamrat! to jedna chwila całej kwesty, a szczególnie baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą dyabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem się pilnie na wszystkie strony, jak żoraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!!!

Jakoż wnet w moich oczach, przewodyr i kilka przy nim legło na placu pod bagnetami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięknie ułożonych przewodyrów i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali i jedni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej sto-
doły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie
samego.

— *Latrones estis!* — krzychałem; ale, ci, zapalczywsi od
pierwszych tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza
paska, nawet i butów. — Dobrze mi tak — pomyślałem —
a czemu podług reguły nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, roz-
śmiał się i klapiąc po ramieniu, zawołał: — A kamrat!
Vilna, Osmana — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! pomyśliłem znowu — ponieważ to jeden z moich
dawnych przyjaciół, więc mnie przecie zaproteguje. — Uściska-
łem go z affektem i on mnie. Potem prawil im widać historję
naszej wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali
się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniał rzecz ważną
zaczny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: —
Kamrat! tobak!

Zmieszałem się. Poznał Francuzisko mój kłopot; szust rękę
do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował
wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet
na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki i kilka
rubelków wysypało się... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną
miną stałem jak *delikwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej
minery przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za
piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym;
gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach
wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie
i przystojnie odbyła się, zebrał szkrupulatnie tabakę do taba-
kierki i mnie oddał. — Bon! bon! se bon kamrat!

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła i jeszcze
nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego
obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! —
zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilka-

dziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francuzku. Coś mu odpowiedzieli. A on do swoich: — To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniony. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz księżę Bernardynie, czy rabujesz razem z nimi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, który oto postrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił i z kilkanaście baranów a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosi, bo mi i buty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrzałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo... Widzą rabusie, że kuso koło nich. — *Pardon! pardon!* — zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? — zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie — odpowiedziałem, nie licząc — bo Bóg tam z nimi nareszcie.

— Nie wszystkie — rzekł on — bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czerwienca *cum effigie Bonapartego*.

— *Deus te benedicat!* młodzieńcze! — zawołałem. — I tę twoją własną ofertę i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na

noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w *marszrucie*, odpowiedział, nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję i ruszajmy. — Chłopcy! kilku z koni! poskładać porzniete barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

Z całego serca i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany, do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem — rzekł oficer. — A teraz zabrać broń maderów, ich wziąć we środek, a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie szkodziłoby i rębem; tylko że ja mojej *Elżutki* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów nie godnych imienia żołnierzy. — I schował szablę do pochew.

Elżutka! coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka!* Spojrzałem na tę szablę — osada staroświecka... zdaje mi się znajoma. Spojrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Franzuzi mruczając wkładali swoje cielęcinki, a ulani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dlaczego się we mnie tak wpatrujesz, księżę kwestarzu? — zapytał oficer.

— Daruj — rzekłem nieśmiało i drżącym od wzruszenia głosem — daruj, zacny wojowniku, że się zapytałem: czyli to twoją szablę nazywasz *Elżutką*? i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak — rzekł — to moja żonka *Elżutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elżutkę*.

— To więc ty jesteś — mówiłem, patrząc nań łzą na-

biegłem a niepewnem jeszcze okiem — to więc ty jesteś Władysław *Swieboda*, syn *Stanisława*!!!

— Skąd mię znasz? księżę! co to znaczy? — I zsiadł z konia.

— Na rękę cię mojem nosilem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modłę się codziennie za jego duszę po śmierci. Tę szablę jań mu odesłał na pamiątkę, sam wdziwając ubogą zakonną sukienkę...

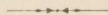
— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz*! — zawołał on. — Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego... o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami, jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja! — rzekłem — ja sam!

Młodzieniec rzucił się w moje objęcie.

KONIEC RĘKOPISU KWESTARZA.

Przypisy do rozdziału XV. o Wołodkowiczu.



Przypisy do rozdziału XV. str. 94 o Wołodkowiczu.

Dekret Trybunału Kadencyi Ruskiej w Mińsku na Michała Wołodkowicza z rękopisu współczesnego.

Z protokołu. Dnia 12 februaryi 1760 JW. Jpan Michał Wołodkowicz sędzia i podskarbi trybunału Gł. W. X. L. *convellendo* prawo statutowe W. X. L. *et correcturam juriū*; *quam strictissime auctoritatem et securitatem subseilorum*, a *praecipue supremi subselli* Trybunału Gł. W. X. L. ubezpieczające, *illicito ausu* na dniu pierwszym februaryi *anni praesentis*, w czasie agitujących się sądów, *ad oclusum conclave* na sądach poobiednich wszedłszy i tam wszystkich na namowie zostających znalazłszy, najprzód stoły w Izbie sądowej rąbać, *denique* świece w lichtarzach stojące ważył się, *insuper* jeszcze, krzyż na stole marszałkowskim rąbać *intendebat*. W czasie której *tranzakcyi* gdy JWWpanowie sędziowie trybunału perswadować zaczęli, aby *honestatem* zachował, tedy JWpan Wołodkowicz *vexando* wszystkich sędziów *laesivis verbis*, perswadującego JW. Dłuskiego deputa Lidzkiego szablą w rękę zaciął, a przez to *publicam tranquillitatem violavit*. Za czem *Judicium*, *per eandem inconvenientiam* tegoż JWp. Wołodkowicza *od funkcyi deputackiej* i *od podskarbstwa trybunału Gł. W. X. L.* odsądza, a oraz *ne ulteriora scelera multiplicentur, perveniendo publicae* to JWW. sędziów trybunału, jako też wszystkich *sub securitate judiciorum*

znajdujących się *tranquillitati, denique inhaerendo* prawu statutowemu W. X. L. Art. 9go z rozdziału 1go i Art. 10 z Rozdziału tegoż 1go korekturze *jurium* i dalszym prawom *de violatoribus* opisującym, tegoż JP. Wołodkowicza *in poenam colli decidendo*, ażeby tenże JW. Wołodkowicz przez żołnierzy trybunałowi assistujących *in spatio tridui* był rozstrzelanym, dekretuje. A *tantisper* niżeli *execucya praesentis decreti succedet*, ażeby *quam strictissime* był opatrzony, JP. rotmistrzowi trybunalskiemu *praecommittit*.

Notacya w tymże rękopisie. Roku 1760 12 februaryi. Za laski JW. JP. Michała Sapiehy krajczego i marszałka trybunału W. X. L. a vicemarszałkowstwa JW. Morykoniego deputata wilkomirskiego, za uderzenie w zawartem kole JP. vicemarszałka i cięcie JP. Józefa Dłuskiego deputata lidzkiego; WJP. Michała Wołodkowicza deputata mińskiego i podskarbiego trybunału W. X. L. w kilka dni po uczynionej akcyi będącego na sądach przez tegoż deputata lidzkiego do sądu wniesiono: najprzód dekret z przydaniem warty temuż JP. Wołodkowiczowi, który wraz został wzięty od warty trybunalskiej, potem w kilka godzin dekret *poenam colli*, aby był rozstrzelanym *in spatio tridui*: jakoż wziętego z wieczora przed szóstą godziną, w kordygardzie z północy o godzinie $\frac{1}{2}$ do 3 tegoż dnia został rozstrzelanym, wieku swojego mając lat 24 lub 25, zostawiwszy brata rodzzonego JP. Józefa Wołodkowicza wojskowicza mińskiego. Ta akcyja niepraktykowana w W. X. L. stała się w Mińsku.



Listy w tejże materji, z innego ówczesnego rękopisu.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do JO. księcia wojewody wileńskiego hetmana W. X. L. z Bychowa.

Namiestnicza Jego królewskiej mości władza, w nim pański honor jakową świeżą doznał obelgę, prowincya nasza zadziwić się musi, kiedy ta ważna magistratura, przed którą najwyższych familii i domów drżyć musiały imiona, zuchwały *ausus* JP. Wołodkowicza, kolegi naszego zgwałcił i znieważył. Partykularniejsze dawniej zwady i nieuszanowania Izby sądowej przez tegoż jegomości czynione łagodnie umarzałem i skonbinowania *dabantur* sposoby. Ale sędziów na namowie siedzących zbrojną ręką nachodzić, deputatów porąbać, nie jest to partykularnej osoby, ale Jego królewskiej mości *despect, crimen status* i honoru mego *contempt*: Co wszystko iż egzemplarną wyciąga karę do Waszej książęcej mości, jako *ad custodem legum* prześwietny ucieka się trybunał, wraz ze mną prosząc gdybyś W. X. Mość wynalazł środek i sposoby satysfakcyi trybunałowi, kiedyś na rek wizycją J. K. Mości wartę trybunalską nie wzmocnił. W czem oczekując W. X. Mości rezolucyi, z najgłębszem uszanowaniem piszę się.

Dnia 10. februaryi 1760.

Kopia listu JO. księcia hetmana W. X. Lit. do JW. vicemarszałka trybunału Gł. W. X. L. dnia 12 februaryi 1760 r. z Nieświża.

Z wielkiem nieukontentowaniem odbieram od Wpana wiadomość niegodziwej akcyi Jpana Wołodkowicza, a z umartwieniem czytam wyrażenie sprawiedliwego żalu jego, z zasłanego i najwyższych tych sądów i samego Wpana pokrzywdzenia, które jako *meretur* sąd i karę, tak *quid juris est, et justitia*

potest, czynić przynależy. Ja się w to mieszać nie będę, ani ochraniać zechcę jako przyjaciela mego JP. Wołodkowicza; bo każdego natenczas mam i wzajemną serca przychylnością *prosequor*, kiedy się zachowuje *in orbita* wszelkich *moderacyi* i chwalebnych postępów; każdego zaś sędzę być nieprzyjacielem moim, kiedy *temerarie* waży się gwałcić prawa i grzeszyć przeciwko słusności, ani się może natenczas pomocy i ochrony mojej spodziewać. W tej rzetelności sentymentów zostawam *corde tenerrimo* etc.

Kopia tegoż listu JW pana marszałka trybunału do JW. Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, dnia 10 februaryi 1760 r. z Bychowa.

Zważając rozpoczętego trybunału w Wilnie *progressa*, i dziejących się pod trybunałem *violencyi* i *excessów*, z ubliżeniem namiestniczej Jego Królewskiej Mości władzy, która dla małej i szczupłej warty, powagi nie miała, a obawiając się jeszcze gorszej *sekwencyi* na kadencyi ruskiej, z *przezornej myśli* upraszałem Jego Królewskiej Mości pana miłościwego, gdyby wartę naszą trybunalską wzmocnić kazał, i do JO. księcia jegomości wojewody wileńskiego, hetmana W. litewskiego, zalecając straż powagi sądowej, pisał. Co gdy się stało, ci, którzy dalsze *excessa* dopełniać byli w zamiarze, *reprezentowali* JO. księciu hetmanowi, iż moje takowego ordynansu u najlaskawszego pana uproszenie na to tylko zamierzało, żeby podać w *inwidyę* władzę hetmańską, a przykrość uczynić przyjaciołom. Daremniem *explikował* się z tego i przytaczał, że w Koronie gwardya assystuje trybunałom; coraż zawikłańsze wynajdowano *explikacye*, a tak wola pańska skutku nie wzięła i trybunał *dolende* wzmocnienia nie otrzymał warty.

Porywczy do gwałtów Jmść pan Wołodkowicz deputat miński, gdy na ustępie byli koledzy jego, on zagrzaszwszy głowę, naszedł sądową izbę z dobytem pałaszem, sędziego lidzkiego

Dłuskiego porabiał, a vice-marszałkowi *Morykoniemu* zelżywemi dostało się słowy.

Takowa niegodziwa obelga, pod żadnem nie znana słońcem, kary wziąć nie może, kiedy trybunał nie ma siły zuchwalego skarać człowieka, z przybraną tyranią na większe odważającego się *excessa*. Więc do Jego Królewskiej Mości, jako *ad fontem suum*, ucieka się trybunał, prosząc, aby Jego Królewska Mość wynalazł sposób *brachio suo* otrzymania satysfakcyi z tak niebezpiecznego *kontemptu*, co jeśli pójdzie *inpune* pewnie i strony sędziów znieważać zaczął, z poniżeniem tak poważnej magistratury, którą dotąd *ob tremorem* obserwować najwyższej dystynkcyi ludzie musieli. Odezwałem się w tej mierze do J.O. księcia hetmana i kopią aktu mego przyłączam. Będąc z dynstygwowaną *obserwancją* etc.

**Kopia listu JWpana podkanclerzego W. księstwa litewskiego
do JWpana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego
z Bychowa ejusdem pisanego.**

Świątnica sprawiedliwości, najwyższa Jego Królewskiej Mości namiestnicza władza trybunału głównego W. X. L. który najmocniejszym w ojczyźnie ludziom straszny, dla najzuchwalszych ogromny, *et saeculis* poważany; jakowy gwałt teraz ucierpiał i w wielkiem dotąd jest niebezpieczeństwie, donosi JWpan marszałek tegoż trybunału i szuka u Jego Królewskiej Mości, jako najwyższej głowy swojej, zdania i rady. *Quo facto opus* zna każdy z nas ¹⁾ i wie, że takiego trybunału *oppressora* sądzić i karać należałoby. Ale szczupłe trybunału siły, *excessanta* zuchwałość i hajdamactwo, przy nim zgają mieszająca się czynić sprawiedliwość nie dozwala. Nie trzeba *explicować* JWpanu dobrodziejowi, jako w tem *laeditur* powaga Jego Królewskiej Mości, jaka dla przyszłych trybunałów *konsekwencya*, jaka dla postronnych narodów ustawa pogorszająca rządów

¹⁾ Może to być domówka do Radziwiłłów.

naszych i jaka *rigorose* to zgromić należy: bo wysokie sentymenta i *amor boni publici* zaszczerpiony w JWpanu ma to w umyśle i oczach co sumienność każe, a praw utrzymanie utorowało drogę. Jednak, bym się nie zdał porywczym, zdałoby mi się, gdyby Jego Królewska Mość listem swoim do księcia jego mości hetmana ordynował, zalecając, ażeby wraz wartę trybunalską stem ludzi wzmocnił, a marszałka trybunału zobowiązał, żeby *irremissibiliter* JP. Wołodkowicza sądził *ad instantiam Instigatoris*. Lecz że *event* może byś nieprzewidziany, więc Jego Królewska Mość mógłby listem swoim *intimować* instygatora W. X. L., jako w sprawie *laesi Regalis brachii* i aby tę sprawę *ad ultimum juris gradum* tak w tym, jako i w przyszłych następujących trybunałach przeprowadził. Takowe wzięcie się za honor trybunału Jego Królewskiej Mości uczyni impressją w narodzie poszanowania trybunałów, powściągnie od podobnych złych akcyi *pro futuro*, zagęszczone hajdamactwa powstrzyma i *tranquillitatem* przyniesie ojczyźnie naszej.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do Jmćpana Morykoniego vice-marszałka tegoż trybunału.

Niesłychanej odwagi *akcya* JP. Wołodkowicza jako jest kryminalnej *importancyi*, bo *laedit* powagę Jego Królewskiej Mości, znosi *Supremi Judicii* bezpieczeństwo, a przeto jest *crimen status*. Więc odezwałem się do Jego Królewskiej Mości, jako donajwyższej trybunał głowy Pańskiej, *exquirendo sentimenta*. I nim nastąpi w tym punkcie rezolucya i nim sam zjadę do Mińska, w całym tym interesie wstrzymać się proszę i nie *cunctanter* nie czynić w tej sprawie, póki udysponowania się *modus non datur*: bo nie partykularnej osobie stała się krzywda, ale honoru mego uszczerbek. Nie wątpię tedy, że W. pan całego trybunału piastując honor i powagę, *frivole* nie uczynisz kroku, któryby *vili passione* trybunału, a laski dyshonor przyniósł. O co W. pana *obtestando*, z wielką piszę się estymacyą etc.

— To, czegom się w opowiadaniach dziada mojego, naocznego świadka śmierci Wołodkowicza, nasłuchał to, co się z powyższych aktów i listów wypisanych z ówczesnych pamiętników domowych wyświeca, zgodnem jest zupełnie z opowiadaniem Bielewicza.

Wypadek ten, jakkolwiek tyczący się losu jednej tylko osoby, obojętnym jednak nie jest w dziejach kraju tego z ostatnich jego czasów i za historyczny pod pewnym względem uważanym być może.

Ileż tu bowiem razem objawia się okoliczności i rysów charakterystycznych ludzi i wieku tamtego?

Sapieha niepewny, czyli w powszechnym nieładzie i ścieraniu się możnowładnych partyi dopiastuje spokojnie łaskę swoją trybunalską, którą naprzekor Radziwiłłom potrafił osiągnąć, „przezornej myśli“, a może i z przekornej myśli, uprasza króla o rozkaz hetmanowi Radziwiłłowi powiększenia warty trybunalskiej.

Rozkaz ten dany od króla, ale go hetman nie spełnia. Bo jakżeby miał powiększać sam powagę współmagnata pragnącego zrównać mu w potęgę, otaczając go świetną wojskową assistencyą, poniewoli odeń wymuszoną?

Niema tu względu na niebezpieczeństwo najwyższej w kraju magistratury i publiczne, bo też może nie było i bojaźni, by ono prawdziwie zakłóconem byś mogło. Duma tylko, arystokracka zarozumiałość i chęć upokorzenia *Sapiehy* a przysporzenia mu kłopotu w sprawowaniu urzędu powoduje Radziwiłła do nieposłuszeństwa królowi, a tem samem do podniesienia w oczach gminu potężnej swej władzy hetmańskiej, którą tak troskliwie piastuje i chroni, że się lęka poddać „w inwidyę powszechną“, spełniając ordynans królewski. Przyczyna ta wszakże zręcznie wybraną i stosowną jest do panujących naterenczas w narodzie wyobrażeń i łamać się z nią *Sapieha* bez wydania na szwank swej popularności nie mógłby.

Zatem rozpoczyna się kadencya ruska trybunału w Mińsku. W kole sędziów jest kreatura Radziwiłłowska: Michał Wołodkowicz wybrany deputatem z Mińska, zuchwały, w swawoli,

gwałtach, pijatykach i hajdamactwach trawiący swe lata młode, sam i dawnego możnego w Litwie rodu, a związkami pokrewieństwa z takimiż połączony, ale oddany całkiem domowi *Radziwiłłowskiemu*, gotowy na wszelkie skinienia książąt, zaufany w ich protekcyi, a zatem niepomyślny dla Sapiehy kolega.

Sapieha znowu, zapewne z *przezornej myśli* zareasumowawszy trybunał, jedzie do domu. Zastępuje go w prezydencyi *Morykoni* vice-marszałek a deputat wilkomirski. Nazwisko i cudzoziemski ród jego, lubo dawno w kraju zabyły, podnieca pychę rozhukanego śmiałka, niemogącego ścierpieć, że siedzi niżej od cudzoziemca, a co gorsza, że ten rozumem, znajomością prawa i roztropną stałością dostojnego i mądrego urzędnika przeważnie wpływa na zdanie kolegów i utrzymuje powagę trybunału, a upokarza Wołodkowicza napominkiem, przestrogą i samem nawet pobłażeniem jego swawoli.

W takim stanie rzeczy i rozdrażnienia zdarza się sprawa jakiegoś koligata Wołodkowiczowskiego, w której wyrok, mimo próśb i groźby jego, nie padł mu po myśli. Dotknięty do żywego, a podlegany w zawziętości i pijatyce przez dobraną hajdamaków drużynę, nachodzi on trybunał.. spełnia się szkaradny *exces!*

Wielkie i powszechne było wzruszenie umysłów, wzbudzone niesłychanym dotąd takim wypadkiem. Występek główny i nadzwyczajny wymagał rychłej i surowej kary, bo wtargnął się na spokojność i bezpieczeństwo urzędu, piastującego własność i losy wszystkich, a co najgorsza, przykładem ośmielić mógł bezprawia i gwałty w kraju, w którym prawa codzień w swej sile i powadze słabły.

Lecz z drugiej strony, sama nadzwyczajność występku trudnem czyniła zastosowanie kary, zwłaszcza nad człowiekiem, którego szerokie związki familijne, stosunki popularne, nakoniec protekcyja domu *Radziwiłłowskiego* osłaniały. Targnąć się więc na to wszystko niełatwo było, a zatem i trudny środek pogodzenia tych wszystkich względów z prawem i sprawiedliwością.

Na taką próbę wydana *przezorna myśl* marszałka trybunału,

nie mogła na rychłą i stanowczą zdobyć się determinację. *Sapieha* nie wie co począć? Zna, że obecność jego w takim razie konieczną jest na trybunale, lecz zna także, że przybywszy do Mińska, wnet coś postanowić i działać potrzeba będzie. Nie jedzie więc, ale się wybiera, zapowiada swą bytność *Morykoniemu*; zastrzega, aby on żadnego w tej sprawie *frivole* nie czynił kroku, nim sam nie zjedzie do Mińska i *nie wyekwi-ruje* sentymentu Jego królewskiej mości, do którego, jako *ad fontem* swej sądowniczej władzy, uczynił odezwę. Z kolei, wymówne napisawszy listy do *Mniszka* marszałka nadwornego koronnego, do hetmana *Radziwiłła*, któremu przy zrzeczności odmówkę warty wymawiając, winę *excessu* dotyka, umyślił *tandem* spocząć sobie po tak ciężkiej listowania pracy i oczekiwać w Bychowie rezolucyów. A nuż skądkolwiek nie przyjdzie sposób wywikłania się z tej biedy tak, aby i *kontempt* honoru jego i prawo i osobiste podległe okolicznościom czasu względy, zaspokojonymi być mogły.

Stary hetman Michał książę *Radziwiłł* dokonywał naten-
czas w Nieświżu wieku i niewojennego swego hetmaństwa.

Wieść o wypadku w Mińsku, o mil kilkanaście od Nieświża odległego, wnet go doszła. Bo i stronnicy *Wołodkowicza* przy-
lecieli doń szukać wsparcia i ratunku i *Morykoni* napisał list
pragnąc wiedzieć myśli i zamiary księcia. Cnotliwy ten *pan*,
jakkolwiek w powszechnem otrętwieniu kraju, nie był zdolnym
do wzbudzenia w nim żywotnego ducha, słynał jednak ze spra-
wiedliwości i spokojnych cnót domowych, a nie nadużył nigdy
na przemoc lub ucisk współbraci potężnej przewagi, jaką mu,
najpierwsze w kraju hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego
dostojeństwa, oraz niezmierne bogactwa jednały; owszem,
gromił często i surowo własnego syna *Karola*, natenczas miecz-
nika litewskiego, nieunoszonej młodości zapędy. I jeżeli, jako
głowa najmożniejszego w Litwie rodu, wpływał na wewnętrzny
obróć stronnictw i możnowładczych uporów, nie cierpiał jednak
wyuzdanej swawoli, ani ją kiedykolwiek ochraniał lub bronił.
Występek więc *Wołodkowicza*, odezwy *Sapiechy* i *Morykoniego*
ucieczka nawet adherentów *excessanta* pod jego opiekę, wszystko

dało poznać hetmanowi, że powszechność i potomność imię Radziwiłła do wspomnienia Wołodkowicza przyłączy.

Zatrwożyła księcia ta myśl nienawistna. Prawe przekonanie, że w obu swoich urządach jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, wsparło to pierwsze wrażenie. Wyrzeka się więc wszelkich z winowajcą stosunków i odmawia stanowczo błaganego ratunku.

Nie wiemy czyli? i co? odpisał *Sapiesze*; *Morykoniemu* zaś odpowiada, że się mieszać w tę sprawę wcale nie będzie, i że *quod juris est et justitia posset*, czynić przynależy.

Uderzeni jak piorunem stronnicy Wołodkowicza tem postanowieniem ojca, pobiegli szukać skuteczniejszego wsparcia u syna, złączonego z ich *pryncypałem* osobistą skłonnością. Ale, na nieszczęście ich i Wołodkowicza, książę miecznik był natenczas aż w Białej, hrabstwie o mil kilkadziesiąt od Nieświża odległym.

Trzecie i główne miejsce sceny tego dramatu, był Mińsk. Tam po ujęciu i osadzeniu *Wołodkowicza*, nie łatwem było położenie trybunału, a szczególnie przydującego w nim *Morykoniego*. Nazwisko jego cudzoziemskie źle brzmiało w uszach szlachty, *komparującej* one z Wołodkowiczami, dawną i popularną między niemi rodziną. — *Włoch prześladowe szlachcica!* wołano zewsząd: nie pamięta na „*Neminem captivabimus, nisi jure victum!*“ — Warta trybunalska ze trzydziestu ludzi i dwóch oficerów złożona, ani liczna, ani mężna, z trudnościami ustrzegła więźnia i ochroniła sam trybunał, gdyby zburzony gmin od pogroźek przeszedł do czynu. Ale strzegła go mocniejsza od siły zbrojnej tarcza, bo siła wiekami utwierdzonej w narodzie czci i świętej, że tak powiem *adoracji* dla trybunałów, przed którymi, jak pisze *Sapieha*, najwyższej dystynkcyi ludzie drżeć musieli. Bo też i najwyższej dystynkcyi ludzie składali go pospolicie; a jeżeli czasami stronnictwa i emulacye możnych kierując wyborem deputatów, pokalały poważne to sądownicze grono, rzadko się to jednak przydarzało i zawsze w niem zna-

leźli się mężowie prawi, sumienni i mądrzy, którzy rej wodzili w kole, tak, że nieraz się zdarzało, iż gdy przyszło do sekretnego *turnum*, w wątpliwych i interesowanych namowach, zwykle przez któregośkolwiek z bezstronnych sędziów wzywanego a przez marszałka zaprzeczyć się niemogącego, Radziwiłłowski, Sapieżyński lub Czartoryskich deputat sam jeden przy swoim zostawał się *votum*. Oprócz tego najzapaleńszymi rębaczom i codziennym towarzyszom hajdactw Wołodkowicza opadały ręce i opuszczał zapal, gdy przypomnieli na porąbany przezeń krucyfix; już wtenczas uznawali go winnym sądu i kary, lecz duchowne mu tylko *poenitentiae*, nie zaś kapitalny przeznaczając dekret.

Morykoni zdolnym był przewodniczyć trybunałowi i kierować zdaniem kolegów w tej trudnej okoliczności. Mądry i stały w postanowieniach, świadomy praw krajowych i stosunków tamtoczesnych obywatelskich, osądził on w swem sumieniu i w surowej lecz koniecznej sprawiedliwości występki i los Wołodkowicza; lecz niżeli stanowczym wyrokiem mógł sam go rozstrzygnąć, musiał wprzód wezwać *Sapiechy*, któremu obowiązek i przyzwoitość nakazywały nie opuszczać nigdy, a bardziej w takim zdarzeniu, trybunału; zbadać też determinację Radziwiłła: gdyż jeżeliby on chciał bronić Wołodkowicza, stając natenczas otwarcie i upornie naprzeciw hetmanowi, można byłoby do większego zgorszenia dać powód i nie obronić się jednak słabą trybunalską komendą naprzeciw hetmańskiemu żołnierzowi.

Dnia 1 lutego 1760 roku stała się *akcya* i ujęty Wołodkowicz, osądzony został i strzeżony w kordygardzie warty trybunalskiej. *Morykoni* wnet posłał do *Bychowa*, odległego mil więcej trzydziestu od Mińska, do *Sapiechy* i zapewne nie długo zwlekając i do *Nieświża*. Nie mamy w rękopisie naszym tych listów jego; że były pisane, z odpowiedzi hetmana i marszałka widno.

Czas oczekiwania na te odpowiedzi najtrudniejszym był dla *Morykoniego* i trybunału, bo czas niepewności i próby. *Morykoni* z jednostajną spokojnością oblicza przewodniczył nieprze-

rywającym się sądom; a lubo w namowach mniej o toczących się procesach niżeli o rzeczy Wołodkowiczowskiej, wszystkich zajmującej, rozprawiono, jednak po namowie nikt z tłumu czepiającego się zwykle trybunałów, nie mógł przeniknąć ani zbadać myśli marszałka i deputatów.

Przyjaciele Wołodkowicza spodziewali się co chwila Radziwiłła, nie hetmana, ale syna jego księcia Karola, którego Wołodkowicz był ulubieńcem; wierzyli więc, słusznie, że nie da mu zginać i czy to zgodnie z wolą ojca czy to i mimo woli jego, przybędzie oswobodzić więźnia.

Miał *Morykoni* swoje przesłuchy; wiedział, że księżę Karol aż w *Białej*. Liczył więc niecierpliwie dni i układał plany na przypadek przyspieszonego przybycia księcia, a zatem zagrozić się mogącej spokojności publicznej; błagał tylko trwożliwszych kolegów aby dotrwali przystojnie do końca i najmniej się nie wydawali ze swą bojaźnią lub wątpliwością. Nakoniec, prawie w jednej godzinie, zeszyli się odpowiedzi *Radziwiłła i Sapiehy* to jest, 12 lutego. List pierwszego uwalniał trybunał od wszelkiej niespokojności ze strony hetmana i owszem ośmielał do wymierzenia kary na przestępcę; drugi majaczył, odkrywał niepewność zdania, puszczanie się na zwłokę, a zatem w przyszłości bezkarność dla Wołodkowicza, którejby on nie długo nawet oczekiwał, bo coraz gęściej krążyła wieść, że księżę Karol ze swoim myśliwstwem, które rzeczywiście za siłę zbrojną uważać było można, tuż tuż się zbliża.

Gdy więc tu już było prawie *periculum in mora*, *Morykoni*, po odczytaniu tych listów w kole, odkrywa otwarcie swoje zdanie, wzywa Boga na świadectwo, że żadnej osobistej do *Wołodkowicza* nie ma na sercu urazy, że mu *Morykoni* przebacza... lecz że go sędzia potępia! wystawia niebezpieczne i gorszące skutki dla kraju, gdyby czyn tak zuchwały i występny poszedł bezkarnie, nakoniec odwołuje się do przysięgi sędziów, i konkluduje wyrokiem, że *Wołodkowicz* winien śmierci! — Jakież jest wasze zdanie? sędziowie! zapytał. Mamże otworzyć *turnum*?

— Nie potrzeba zawołałi wszyscy. *Poenā colli!* Pisać wniesienie i dekret.

Porąbany przez Wołodkowicza lidzki deputat *Dłuski*, daje natychmiast wniesienie — los winowajcy rozstrzygnięty.

W kilka godzin Morykoni odbiera nagle wiadomość, że ksiązę miecznik przybywa; przyspiesza więc exekucję dekretu, a oszczędzając Radziwiłłowi gorszącego czynu, a sobie i swoim niebezpieczeństwa, zaraz po exekucyi limituje na dwa tygodnie trybunał i rozjeżdżają się wszyscy.

Dziad mój, towarzysz natenczas usarski znaku Buławy Wielkiej W. Ks. Litewskiego, a przebywający ciągle przy boku i dworze hetmana¹⁾, posłany był przezeń zaraz po ujęciu Wołodkowicza do Mińska dla uważania obrotów rzeczy i wypadków i donaszania wszystkiego do Nieświża, z zaleceniem jednak najściślejszej tajemnicy o swojej missyi i niewdawania się najmniej w żadne kroki, któreby tę missyę odkryć mogły.

Opowiadanie jego szczegółowe o tym i o wielu innych wypadkach dworu Radziwiłła hetmana, a po jego zgonie księcia Karola (panie kochanku), przy którym także lat kilka przebywał, wyrło się dokładnie w mojej dziecinnej i młodzieńczej pamięci; w pamiętniku zaś jego domowym znalazł się dekret, listy i noty powyżej wydrukowane, które on, znajdując się ówczesnie i umyślnie *in loco delicti*, miał łatwą zrzeczność zebrać.

A tak rys ten wypadku tego nadzwyczajnego, mniemam być prawdziwym. Sprzecznym on jest z opowiadaniem teje samej okoliczności w *Pamiętnikach starego szlachcica*, niedawno w Wilnie wydrukowanych, naprzód głównie w tem, że dekret,

¹⁾ Michał Borejko Chodźko, w roku 1760 towarzysz usarski znaku Buławy wielkiej W. Ks. Lit. potem w roku 1777 deputat z powiatu oszmiańskiego na trybunał W. Ks. Lit. na kadencję ruską do Grodna w roku 1778 deputat na trybunał na kadencję litewską do Wilna, nakoniec po rozdziale powiatu oszmiańskiego, wojski zawilejski.

śmierci *Wołodkowicza* ogłasza być sądów kapturowych, a zatem w ciągu bezkrólewia po śmierci Augusta III, gdy wątpliwości niema, że go trybunał 1760 za życia jeszcze tego króla osądził, z kolei we wszystkich okolicznościach towarzyszących akcji, wyrokowi i exekucyi wyroku na *Wołodkowiczu*. Błąd ten autora wysokich literackich zalet stąd zapewne poszedł, że wieść pomieszała i dotąd miesza, swawole i los dwóch *Wołodkowiczów* współczesnych sobie: Michała, rozstrzelanego w 1760, i Ignacego, brojącego po kraju właśnie w czasie bezkrólewia, okrytego i manifestami współ-braci i wyrokiem sądów tamto-czesnych kapturowych i konfederackich, którym jednak nie stało się zadosyć i które potem list żelazny pokonał.

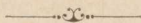
Ośmdziesiąt cztery lata upłynęło po tym wypadku, wspomnienie *Wołodkowicza* trwa do dziś dnia po Litwie, lecz codzień się już, wraz z innemi podaniami, zaciera i niknie. Gmin pospolity, szczególnie drobnej szlachty, gromadząc swawole obu *Wołodkowiczów* pod jedną osobą i z przesadą one rozpowiadając, śmierć jego niesłusznem męczeństwem osądził i pamięć politowania swego na nim pieśnią pozgonną uwiecznił... Rozmyślny zaś badacz przeszłości kraju tego, widzi tu dowód, że w ówczasowem rozstrojeniu sprężyn rządu i wewnętrznego porządku, zepsucie jednak nie tak daleko zaszło, aby wyniszczyło zupełnie wzgląd na dobro publiczne. Bo i w możnowładnych głowach, jakim był hetman *Radziwiłł*, wzgląd osobisty ustępował bez namysłu i niknął jak mara przed interesem powszechnym i przed bojaźnią pogwałcenia praw i spokojności krajowej, a w szlacheckim zastępie, nie wypenił mężów cnoty i energii pełnych, bezwzględnie i śmiało postępujących na drodze obowiązków swoich, a godnych jak *Morykoni* zaufania ziomków i urzędów wysokiego dostojństwa, na których dobro i bezpieczeństwo ogólne polegało.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Przedmowa Wydawcy	1
Wstęp autora	3
Rozdział I. Sejmiki połockie w Uszaczu	8
— II. Wizyta po przyjaciółach	11
— III. Wyzwanie	13
— IV. Wieczorynka	17
— V. Pojedynek	22
— VI. Sessya sejmikowa	25
— VII. Obiad u pana wojewody	37
— VIII. Po sejmikach	46
— Sentencye z książki pana wojewody	48
— IX. Ucieczka	56
— X. W Nieświżu	62
— XI. Nazajutrz	70
— XII. Kapituła	74
— XIII. Instrukeya na kwestę i odjazd z klasztoru	80
— XIV. Legendy starego Marcina. Pan Rotmistrz	85
— XV. U pana Bielewicza. Wołodkowicz	94
— XVI. Popas i uwagi Marcina	123
— XVII. U wdowy	130
— XVIII. U pana starosty	139
— XIX. Casus fatalis	157
— XX. U księdza plebana	163
— XXI. Powrót	168
— XXII. Rok 1812	173
— XXIII.	179
— XXIV.	186
— XXV. Testament ks. definitora	191
— XXVI. Śmierć ks. definitora	195

	Str.
Rozdział XXVII.	198
— XXVIII. Wędrówka do Bienicy	201
— XXIX. Nieboszczyk Kocięł	206
— XXX. Przed kwestą	210
— XXXI. Kwesta	216
— XXXII. Stary marszałek dworu i stary rezydent	222
— XXXIII. Sny	228
— XXXIV. Łostaje	235
— XXXV. Elżutka	242
Przypisy do rozdziału XV. o Wołodkowiczu	247



~~ZARZĄD MIEJSKI w TARNOWIE~~
~~Miejska Biblioteka Publiczna~~
~~im. Juliusza Słowackiego~~
~~ul. Głazica 6, tel. 491~~
 C-24496



SDh-1906



Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

Dział Starych Druków



0241-001906-00

ASLIZERNAKTAL - KRAKÓW